

# Lili



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

# Lili

## I

Ale co my teraz pocniemy z sobą?

— Raz... dwa... trzy... Nie wiem, to już Józia głowa — odpowiedziała Korczewska, pochylając się nad szydełkową robótką. — Józio dobrze myśli o nas. Kończę te serwety, bo prezydentowa obiecała mi sprzedać. Raz... dwa... trzy... — liczyła po cichu i tak się zatopiła w robocie, że nie widziała wzburzenia Gałkowskiej, która prędko i niecierpliwie biegła po pokoju; tak niecierpliwie, aż wielka, jasna peleryna, którą miała na ramionach, fruwała za nią, wydęta, i uderzała w twarz młodego chłopaka, siedzącego pod piecem.

— Jańciu! myślże co, przecież jesteś mężczyzną — zawołała przyduszonym głosem, stając przed nim.

— Jestem mężczyzną, to się wie... a zaraz będę myśleć, tylko papierosa wypalę — odpowiedział drwiąco, puszczając jej w oczy kłęb dymu.

Gałkowska uderzyła go oczami i siadła obok Korczewskiej na koszu, okrytym dywanikiem z różnokolorowych skrawków.

— Zdaje mi się, że zrobiliśmy wielkie głupstwo, odchodząc od Stobińskiego. Korczyński mógł rozbić towarzystwo, bo państwo macie fundusze... macie protektorów... macie swoje plany...

— Mamy figę marynowaną. Pleć, pani, pleć... raz... dwa... Mamy fundusze! Józio wczoraj zastawił futro!... trzy... cztery...

— Ale cóż my zrobimy? My, którzy futer nie mamy do zastawienia! Cały tydzień już się nie gra! Wie pani, pisał dzisiaj Oleś do Jańcia, że onegdaj grali w Kole, spektakl był nabity, mieli w kasie osiemdziesiąt rubli! Osiemdziesiąt rubli! — powtórzyła z naciskiem. — Gdybyśmy byli razem, to mielibyśmy na markę<sup>1</sup> najmniej po pół rubla — dodała z żalem.

— Jedź pani do nich, zaangażują panią z pocałowaniem ręki, weźmiesz wszystkie bohaterki... zagrasz po Lili wszystkie naiwne... — szeptała cicho, z drwiącym uśmiechem Korczewska, rozprostowując na kolanie skończone kółko.

— Pani tak mówisz, jakbym ja, Gałkowska, nie była aktorką na stanowisku, tylko pierwszą lepszą krowientą<sup>2</sup>!

— Ależ ja nic nie mówię! Niechże mnie Bóg broni, żebym co mówiła...

Gałkowska porwała się z kosza i znowu biegła po pokoju. Jej sinawa twarz, chuda i brzydka, obsypana pudrem, pokryła się mocnymi wypiekami irytacji, a wielkie, wypłowiałe, okrągłe oczy, silnie podczernione i otoczone dookoła całą siecią zmarszczek, zamglily się łzami.

— Mieszkanie za cały miesiąc niezapłacone, to mniejsza, ale jeść nie ma kupić za co, kredytu nie mamy już za grosz. Jańcio wczoraj sprzedał za parę groszy coś z laubzegi<sup>3</sup>, ja dzisiaj zastawiłam salopę<sup>4</sup>, a na jutro nie ma już ani co sprzedać, ani zastawić... I kto to

<sup>1</sup>marka (daw. teatr.) — jednostka obrachunkowa, wartość pojedynczego udziału w zysku z przedstawienia, na podstawie której obliczano zarobki aktorów. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>krowienta (teatr.) — początkująca, niezgrabna aktorka, rzadziej aktor. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>laubzega (z niem. *Laubsäge*) — cienka piła metalowa do wyrzynania otworów i wykrojów w drewnie. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>salopa — długie, wierzchnie okrycie damskie, z rękawami i pelerynką, ocieplane futrem, noszone w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

wszystko znosi! kto tak cierpi! Ja, Gałkowska, aktorka na stanowisku! To już chyba koniec świata!

Oparła się o parapet i wsadziła twarz w okno, żeby ukryć łzy, które się jej gwałtem wydobywały spod powiek, i to bolesne, rozpaczliwe łkanie, jakie wstrząsało całą jej chudą postacią. Patrzyła potem chwilę bezmyślnym wzrokiem w zaśnieżony, biały świat, aż jakieś postanowienie mocne ją poderwało z miejsca, bo się rzuciła na pokój i zawołała energicznie:

— Wiem, co robić! Jańciu! Chodźmy!

I szła przez pokój z majestatem Elżbiety z *Hrabiego Essex*<sup>5</sup>, którą grywała. Jańcio niechętnie się podniósł i troskliwie obciągał bardzo delikatne, letnie palto, w którym chodził.

— Raz... dwa... Zaczekajcie. Józio zaraz przyjdzie. Mają się wszyscy zebrać, to się naradzimy, trzy... cztery... Grabiec pisał, że chciałby nas wszystkich angażować, a w każdym razie coś się postanowi. O, już ktoś idzie!...

Jakoż w tej chwili drzwi się otworzyły i z całą falą śniegu i wiatru wpadła młoda dziewczyna, a za nią elegancki, przystojny mężczyzna.

— Dzień dobry! Jezus! taki śnieg! taki wiatr! tak zimno! Mam pełne buciki śniegu. Przechodząc koło apteki, spojrzałam na tego pigularza<sup>6</sup> ryżego i bach... w całą kupę śniegu się przewróciłam. Pan Zakrzewski ledwie mnie wyciągnął — mówiła prędko, tupiąc nogami, otrzepując się ze śniegu, witając z kobietami i kręcąc się po pokoju, który nappełniła wesołą wrzawą. — Jańciu, puść mnie do pieca i nie patrz! Muszę zdjąć buciki! Ale i panu nie wolno... nie wolno... — zawołała do swojego towarzysza i zerwawszy się od pieca w jednym buciku tylko, odwróciła go plecami do siebie. — Patrz pan na Gałkowską, ślicznie się dzisiaj zrobiła! Jańciu, patrz w szydełko pani Korczewskiej! — wołała ze śmiechem, zdejmując drugi bucik, wysypała śnieg i oparła maleńkie nóżki w czarnych pończochach na ciepłych drzwiczkach, oglądając się przy tym co chwila, czy kto nie patrzy.

— Ho! ho! Lili ma nowe futerko! Dobry „bębenek”<sup>7</sup> z tego obywatela — dodała ciszej Gałkowska, oglądając dziewczynę z uwagą pełną zazdrości.

— Przerobione z mamy! — zawołała Lili wesoło i spojrzawszy na Zakrzewskiego, który stał jak słup na środku pokoju, odwrócony do niej plecami, roześmiała się głośno; ogromne, błękitne oczy strzeliły niepohamowaną wesołością, włożyła szybko buciki, zerwała z głowy futrzany czarny kołpaczek<sup>8</sup> i rzuciła nim w twarz Jańcia, który nieznacznie się jej przypatrywał i gryzł papierosa, poprawiła grzebyki w jasnych jak len, popielatych włosach, które niesfornymi kosmykami, nastroszone, puszyste, spadały jej na czoło, zakrywały skronie i jak popielate płomyki pełzały po białym karku, wychylającym się z zielonej sukiennej bluzki, ściśniętej paskiem w stanie.

Wytarła wilgotną od śniegu twarz i obciągała bardzo starannie bluzkę.

— Lili nie ma dzisiaj gorsetu! — szepnął Jańcio cynicznie.

— Łobuz! Dyrektorowo! niech on nie patrzy na mnie! — zawołała, rumieniąc się i osłaniając skrzyżowanymi rękami piersi, bo przez cienkie sukno rysowały się zbyt wyraziście.

Korczewska roześmiała się, nie podnosząc oczów<sup>9</sup> znad kółka, a Gałkowska obejrzała ją przymrużonymi złośliwie oczami i rzuciła pobłażliwie:

— Nigdy nie wychodzi z roli naiwnej! Mascota<sup>10</sup>! — dodała ciszej i urągliwiej.

Lili nie słuchała, okryła ramiona jakąś podartą chustką Korczewskiej i usiadła na koszu. Siedziała czas jakiś w milczeniu, tylko bujała zajadle nogami i biegła oczami po ścianach pokoju, malowanych w ordynarny niebieski deseń, po którym ściekały od sufitu brudnożółte smugi wilgoci, po łóżku, okrytym szydełkową kapą i stosem coraz mniejszych poduszczyków, przez których szydełkowe poszewki przeświecała purpura wyspek; wielki dywan z różnokolorowych sukiennych kwadratów wisiał nad łóżkiem i stanowił

<sup>5</sup>*Hrabia Essex* — dramat niem. pisarza Heinricha Laubego (1806–1884). [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*pigularz* (pot.) — aptekarz. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*bęben* (daw., pot.) — małe dziecko, dzieciak; tu: niedorostek, młokos. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*kołpaczek* — wysoka czapka bez daszka, z futrzanym otokiem. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*oczów* — dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*mascota* — zgr. od: maskotka (z fr.: *mascotte*). [przypis edytorski]

tło dla obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i dla kilkunastu fotografii Korczewskiego w różnych rolach, oprawionych w laubzegowe ramki<sup>11</sup>.

— Mielicie radzić, to radźcie, słucham! — zawołała niecierpliwie. — Zakrzewski, chodź no pan! Jakie pan ma włosy! ha! ha! — Śmiała się, bijąc piętami w kosz.

Zakrzewski przejrzał się w lusterku i zaczął śpiesznie przyglądać włosy.

— Chodź pan do mnie. Dawaj pan grzebień, prędko!

Zakrzewski usiadł obok niej, a ona, że było jej za wysoko, uklękła na koszu i zaczęła mu czesać włosy, obracając głowę na wszystkie strony.

— Raz... dwa... dobre dzieci... śliczne dzieci... — szepnęła Korczewska pobłaźliwie.

— Scena z wodewilu<sup>12</sup>! Lili dobrze robi naiwną!

— Pilnuj pani lepiej swojego Jańcia, a nie moich ról — odpowiedziała spokojnie dziewczyna, czesząc dalej.

— Pani się do mnie nie wtrącaj, ja jestem aktorka na stanowisku. Jańciu, przecież jesteś mężczyzną, i pozwalasz krowientom ubliżać swojej siostrze!

— Jańciu! obrońże od apopleksji<sup>13</sup> żonę swojego brata! — zawołała ze śmiechem Lili, widząc pąsową z irytacji twarz Gałkowskiej, która nic się już nie odezwała, tylko gryzła z wściekłości dżet<sup>14</sup>, jakim był ubrany<sup>15</sup> przód okrywki<sup>16</sup>, a Jańcio okrył się takim kłębem dymu, że zniknął w nim cały. — Panie Leonie, kogo my w tej chwili przypominamy?

— Samsona i Dalilę<sup>17</sup>!

— Czy to ze sztuki jakiej? Musi mi pan w domu opowiedzieć, dobrze? — zapytała słodkim, przeciągłym głosem, dotknęła paluszkami jego ucha i zajrzała mu tak blisko w oczy, że cofnął się zmieszany i zaczął gwałtownie pokręcać wąsiki.

— Dobrze, opowiem pani! — odpowiedział cicho i starał się uchwycić ją za rękę, ale się szybko wysunęła i pobięła do psa śpiącego na krzeselku, którego poczęła pociągać za uszy i drażnić.

Cisza się zrobiła; Korczewska nieustannie liczyła oczka szydełka, Gałkowska siedziała przy oknie i z jakąś trwogą patrzyła w zaśniewany świat; wiatr wyl za oknami i co chwila rzucał tumany śniegu w szybki brzęczące, targał za drzwi i gwizdał w kominie, aż się wydymała niby żagiel czerwona firanka, jaką był przysłonięty, a pies, drażniony przez Lili, warczał cicho, aż w końcu znudzony zeskoczył na podłogę, przeciągnął się i drapał do drzwi ze skowytem.

— Cicho, Murzyn! Pan przyjdzie, to Murzynowi da jeść, cicho, piesku — szeptała Korczewska, głaszcząc pieszczotliwie psa, który ułożył się na jej spódnicy i zasnął.

— Dzień dobry, komedianty! To czas, niech go drzwi ścisną! — zawołał niski, chudy aktor, mocując się przez chwilę z drzwiami, których mu wiatr nie pozwolił zamknąć.

Zaczął tupać nogami i otrzępywać się ze śniegu.

— Psi się dzisiaj wesela! Na zakręcie myślałem, że mnie wiatr weźmie, bo mój ibercjerek<sup>18</sup> tak się wydał, że chwilę jeszcze, a wasz Kos byłby sobie pofrunął szukać angażman<sup>19</sup> w obłokach. A zimno!

Zabijał ręce o ramiona po chłopsku i ostrożnie tupał nogami, bo jego cienkie lakierki, pełne latek i szwów, zaczernionych atramentem, nie pozwalały na energiczniejsze ruchy.

— Dyrektor zaraz przyjdzie! Pani Gałkowskiej sługa i podnózek! Naszej kochanej, pakownej mamie Korczewskiej — całuję rączki; pięknej Lili — buziaka, a szanownemu dziedzicowi dobrodziejowi, z dubeltówki! — I co gadał, wykonywał natychmiast z bardzo poważną miną i z nieruchomą, sinawą, podobną do maski twarzą starego aktora prowincjonalnego, a potem przywarł mocno plecami do pieca i zaczął gwizdać.

<sup>11</sup>laubzegowe ramki — wykonane laubzegą, cienką piłką do wyrzynania wykrojów w drewnie. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>wodewil — komediowe lub farsowe widowisko sceniczne, przeplatane piosenkami i wstawkami baletowymi. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>apopleksja — wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>dżet — błyszczący czarny kamień ozdobny, czarny paciorek. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>dżet, jakim był ubrany przód okrywki — dziś raczej: jakim był przystrojony, ozdobiony. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>okrywka (daw.) — wierzchnie okrycie kobiece. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Samson i Dalila (bibl.) — Samson, legendarny bohater wojen Izraelitów z Filistynami, był obdarzony przez Boga nadludzką siłą, działającą dopóki nie strzygł włosów; utracił ją, gdy jego kochanka, Dalila, nakłoniła go do wyjawienia sekretu i podstępnie ścięła mu włosy, gdy spał. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>ibercjerek (z niem. *Überzieher*) — lekkie palto. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>angażman (z fr. *engagement*) — angaż. [przypis edytorski]

— Kos dzisiaj gwizdże już od rana, musiał zrobić dobry interes.

— Lili jest bachor, cicho! Zrobiłem interes, bo zrobiłem molom kawał. Uważcie! Zaglądam do kufrów... a tam po moich sobolach te szelmy spacerują sobie najbezpieczniej, jakby to była garderoba co najmniej naszego kochanego dziedzica dobrodzieja! Czekażcie, hołoto! Watówkę<sup>20</sup> przybiłem za trzy papierki, a swój ibercjerek letni na grzbiet, no i jestem... — Zaczął się śmiać bez przyczyny i rozcierał z zapalem sine od mrozu uszy.

— Szalkowscy przyjdą? — zapytał Jańcio, ziewając przeciągle.

— O, masz ich, idą już i kłóć się jak zwykle! — zawołał, patrząc w okno, obok którego mignęli jacyś ludzie głośno rozmawiający.

— Prędziej! prędziej! I zamykajcie te drzwi piekielne! — zakrzyczał Kos, wpuścił Szalkowskich, drzwi zatrzasnął i próbował je nawet zamknąć na klucz.

— Czy przez to ma być cieplej? — zaśmiała się Lili.

Kos puścił drzwi i znowu przywarł do pieca, a przypatrywał się Szalkowskiej, która sztywno i oziębło witała się ze wszystkimi, pomijając tylko ostantacyjnie Galkowską, umyślnie odwróconą do okna.

— Bardzo zimno! — odezwała się Szalkowska, odwiązując woalkę.

— Tak, chciałem właśnie powiedzieć, że jest bardzo zimno — szepnął śpiesznie Szalkowski, zacierając ręce i odbierając od żony woalkę, boa z szarych, brudnych piór i cerasowy, płaski kapelusz; ułożył to wszystko bardzo starannie na łóżku.

— Czy to jest najświeższa wiadomość z ulicy? — szepnął ironicznie Kos.

Szalkowska odwróciła się od niego pogardliwie i w małym lusterku zaczęła wycierać twarz, poprawiać włosy i delikatnie obmacywała mocno wypukłe, silnie ukarminowane usta.

— Todziu! Pudru zapomniałam! — odezwała się do męża.

— Rzeczywiście, zapomniałem ci go włożyć do kieszeni, ale zaraz przyniosę, za chwilę — i w wielkim pośpiechu wybiegł, już na ulicy kładąc palto i czapkę.

Tymczasem Szalkowska bez ceremonii upudrowała twarz pudrem Korczewskiej i siadła przy Lili, która z jakimś dziecinnym podziwem przypatrywała się jej wspaniałej, doskonale rozwiniętej postaci i pięknej, chociaż już mocno podniszczonej twarzy.

— Todzio wraca! Dobrze panią obsługuje — mruknął Kos.

Szalkowska roześmiała się sucho, głos miała nieprzyjemny, trochę gardłowy i jakby przepity.

— Mam puder, przepraszam cię! — wołał mąż, z trudem łapiąc powietrze, tak się zdyszał, choć mieszkali tylko o dwa domy.

Pocałował żonę w rękę, odciągnął Zakrzewskiego do drzwi i coś mu tam gorączkowo opowiadał, pilnując równocześnie oczami, czy żona czego nie potrzebuje.

— Właściwie na co czekamy? Pić mi się chce, Todziu, przynieś mi wody sodowej.

— Zaraz, Hela, za chwilę będzie! — i znowu wybiegł śpiesznie.

— Przyjdzie mój mąż, to postanowimy co o spektaklu. Raz... dwa... trzy...

— Ale ja nie mam czasu, mnie się spać chce! — Przeciągnęła się leniwie, ziewnęła parę razy, oparła głowę o ścianę i przymglonym a natarczywym wzrokiem wpatrzyła się w Zakrzewskiego, który pisał coś ołówkiem na mankiecie i podsuwał go pod oczy Lili, tak zajętej odczytywaniem, że nie widziała prawie wejścia Korczewskiego z drugim jakimś aktorem.

Korczewski mruknął niezrozumiale przywitanie i zaczął odkręcać wielki szal z szyi, potem długo zacierał ręce, jeszcze dłużej wyciągał z kieszeni różne prowianty i rozkładał je na kominie za firanką, skąd się wreszcie ukazał z niewielkim garnuszkiem w ręku, z którego jadł powoli, chodził po pokoju i mówił:

— Jesteśmy mniej więcej wszyscy, możemy więc już radzić.

Pochylił swoją wyniosłą, chudą postać i powłókł po zebranych czarnym, przymglonym nieco, ale dobrym wzrokiem. Twarz miał świeżo wygoloną, sinawą od mrozu, a na twarzy sterczał wielki, bardzo cienki i długi nos.

— Nie tyle radzić, ile grać nam potrzeba; bo niech mnie drzwi ścisną, ale już ani cebuli, ani w co wkrajać — szepnął poważnie Kos, nie puszczając plecami pieca ani na chwilę.

<sup>20</sup>watówka (pot.) — kurtka watowana. [przypis edytorski]

— Ja również jestem już *ausgespielt*<sup>21</sup>! Wyrzucili mnie z mieszkania, garderoba przepadła, ruchomości przepadły, biblioteka nawet przepadła — ozwał się patetycznym głosem aktor przybyły z Korczewskim, zrobił szeroki gest ręką po gardle, okręcił się szczerzej w starą, aksamitną almawiwę<sup>22</sup>, podniósł do góry niebieskie oczy i wychudzoną, mizerną twarz i zadumał się ponuro.

— Nie fajnuj, Feluś, tutaj frajerów nie ma! Kiedyżeś to miał garderobę, meble, ruchomości jakie, bibliotekę, co? Łżesz, aż widno! — mówił wolno Korczewski, z powagą wyjadając z garniczka i spacerując po pokoju.

Pies chodził za nim nieodstępnie i co chwila z innej strony zaglądał mu w oczy i cichym warczeniem lub delikatnym chwytnościem za nogi przypominał, że i jemu się jeść chce.

Feluś nic nie odrzekł, tylko co chwila trząsał w palce i pociągał się za koniec nosa.

— Może mi pan pożyczy papierosa? — mruknął ponuro, wyciągając rękę do Zakrzewskiego, który natychmiast podał mu swoją papierośnicę.

— Zakrzewski, chodź no pan na chwileczkę — szepnął Kos, odciągając go pod komin. — Spójrz no pan na Szalkowską! Co? zdrow numer? Wiesz pan, ona dzisiaj była u hrabiego! Patrz no pan, jakie ma aksamity i jedwabie.

— No tak, ale to kwestia jej męża; a przy tym, gdyby ode mnie zależało, to jednej chwili nie byłaby w towarzystwie.

— Frajer z pana, ona sama potrafi robić kasę.

— Więc po cóż na nią wygadujesz?

— Bo małpa jest i tyle, głupich pięciu rubli nie chciała mi pożyczyć; nie masz pan co drobnych? — zakończył, drapiąc się w ucho.

— Mogłeś pan od tego samego zacząć! Dam panu, jak będziemy wychodzili — szepnął dosyć niechętnie, pozostawił go przy drzwiach i chciał powrócić do Lili, ale w pół drogi złapał go za kłapę Feluś i znowu odciągnął do drzwi, i zaczął cichym a ponurym głosem mówić:

— Wiesz pan, dlaczego Jańcio ma taką pręgę na twarzy?

— Nie zwróciłem nawet uwagi.

— Było tak: ja mu kraję dublę z czerwonej<sup>23</sup>, a on krzywi swój paskudny pysk i powiada: „fuszer<sup>24</sup>”; kraję mu potem kwadrę z białej do środka, a on mówi: „fuszer”; w drugiej partii zrobiłem jednym ciągiem sto trzydzieści karamboli, a ta krowienta posiniał ze złości i szczeka: „fuszer!”. Wyciąłem go kijem przez pysk i wyszedłem, bo nie lubię długich awantur.

— Ślicznie, panie kochany, ale co mnie to obchodzi?

— A cóż u diabła dziedzica obchodzi?

— Mianowicie to, co grać mamy i czy grać będziemy.

— Coś zawsze grać będziemy, a tymczasem może byśmy po cichu się wynieśli i zegrali jedną zwyczajną o sznapsika<sup>25</sup> z przekąską, co?

— Ileż panu potrzeba koniecznie? — zapytał Zakrzewski wiedząc, jakimi drogami zwykle dobiera się Feluś do pożyczki.

— Te, choćby rubla — odpowiedział nieśmiało, bo chociaż stale żył pożyczkami i naciąganiem, stale się jednak wstydził tego i stale sobie przysięgał, że to po raz ostatni.

— To już mocno nudne, radźcież, bo mi się spać chce! — zawołała Szalkowska i przeciągając się ociężała i leniwie, wyciągnęła rękę po wodę, którą jej podawał mąż.

— Skończże, Korczewski, jeść, do stu diabłów! — zawołał Kos.

— Zaraz, niechże dogryzę ostatniej skórki ze swojego futra!

Postawił garniczek pod kominem, w który natychmiast wsadził łeb Murzyn, wytarł starannie ręce, potem ukrajał kawał chleba i łamiąc go w długich, kościstych palcach, jadł, chodził i myślał.

<sup>21</sup>*ausgespielt* (niem.) — skończony. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*almawiwa* — kolista płaszcz męski bez rękawów; od imienia operowego bohatera, hiszp. hr. Almavivy. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*dubla z czerwonej, kwadra z białej, karambol* — terminy z gry bilardowej o nazwie karambol, rozgrywanej na pokrytym suknie stole, polegającej na uderzaniu kijem w kule (bile). Używane są trzy kule: czerwona, biała i żółta (lub biała z kropką). Celem gry jest uzyskanie przez gracza jak największej liczby zderzeń kul, czyli karamboli (fr.: *carambolage*: zderzenie). [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*fuszer* — człowiek, który wykonuje coś niedbale i niefachowo; partacz. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*sznaps* (pot., z niem. *Schnaps*) — wódka. [przypis edytorski]

— Co będziemy grać? — zapytała Lili prędko, bo już się nudziła.

— Niech się pani wpierw spyta, gdzie będziemy grać i przy czym. Tak, bo nie ma co, nie ma gdzie i nie ma przy czym, tak! — mruknął Feluś ponuro.

— Będzie co, będzie gdzie i będzie przy czym! Raz... dwa... — odparła żywo Korczewska.

— Dobrze tak mówić, ale nie ma biblioteki, nie ma teatru i nie ma dekoracji! Dalibóg, nie wiem, po co rozbijaliśmy Stobińskiemu towarzystwo. Chyba, żeby teraz pozdychać z głodu! Oni grali przedwczoraj i mieli osiemdziesiąt rubli! Mielibyśmy po pół rubla na markę, jedlibyśmy i nie zastawiali ostatnich łachmanów. Jestem przecież aktorka na stanowisku, byłam w różnych biedach, ale o takiej nędzy, jaką cierpię od dwóch tygodni, nie miałam nawet pojęcia. Literalnie nie mieć co jeść, chodzić w końcu grudnia w letnim płaszczku, nie mieć czym palić, to jest więcej, niż człowiek znieść potrafi, to jest nazbyt okropne!... — mówiła Gałkowska i rozplakała się.

Łzy jak groch sypały się na sinawą, wypudrowaną twarz i ryły w niej bruzdy żółtawe. Nie powstrzymywała ich, tylko płakała coraz ciężej a ciszej.

Po zebranych powiało jakieś mroźne tchnienie, strawione nędzą i tułaczką twarze powlekły się smutkiem i martwością, a oczy bezmyślnie zatopiły się w okna, poza którymi była mroźna zima i szeroki, wielki, zimny świat; w tej chwili wszyscy odczuli całą swoją nędzę i niejednemu zadrgał w sercu głuchy, wściekły, bo bezsilny, ból i żal do świata i do ludzi. Lili miała pełne łez oczy; tak ją wzruszył płacz Gałkowskiej, że chociaż się gniewały z sobą, podeszła do niej pierwsza i zaczęła coś cicho mówić i ścisnąć jej ręce, co tak rozrzewniło aktorkę, że chwyciła dziewczynę w ramiona i serdecznie ucałowała.

Szałkowska tylko siedziała nieruchomo; jej piękna, marmurowa twarz ani drgnęła, a w oczach nie zatlił się najsłabszy promień współczucia; ziewnęła i rzekła:

— Gracie melodramat, a to już nudne. Todziu!

— Dla pani nudne, bo pani masz pieniądze, ale my sobą nie handlujemy! — zakrzyczał chrapliwie Kos, który nie mógł jej darować odmówienia pożyczki.

— Tak, nędza była, jest i będzie! Tak, Szalkowska ma swoich kochanków, Gałkowska swoją zrudziałą perukę, Korczewska swojego Murzyna, Lili matkę i dziedzica, Murzyn swój łańcuch, Kos swoich bębenków, Jańcio siostrę. Każdy kij swojego pana, każde cielec swojego rzeźnika, tylko ja jestem biedną sierotą. Tak, utop się, synku, kiedyś zgłodniały, tak! Teraz twoja kolej, Messalino<sup>26</sup> — zakończył Feluś drwiąco do Szalkowskiej, splunął na pokój, pociągnął się za nos, otulił w almawiwę i zamilkł.

— Masz podobno jakąś propozycję od Grabca? — zapytał Kos.

— Mam, chce nas angażować za... miesiąc, od połowy stycznia.

— Grał na fujarce! Czekaj tatka latka, aż kobyłę wilcy zjedzą! Przez miesiąc to zjemy się do podeszew! A niech to siarczyste drzewi ścisną!

— Nie ma też innej rady, tylko sztukę jaką wybrać, i grajmy.

— Zakrzewski ma teraz, jak i zawsze, zupełną rację, ale czemu się pan nie powiesił, co? tak, czemu?

— No, więc grajmy. Zagramy, będziemy mieli pieniądze i wyniesiemy się z tego partykularza!

— I Kos ma rację, bo nie ma już kogo naciągać! Utop się, synku, bo i tak zatłuką cię na bilardzie, tak! — odpowiedział zgryźliwie Feluś.

— Trzeba radzić, a nie popisywać się dowcipami.

— Todzio przemówił! szpaczek się odezwał. Jaki on śliczny, ten mąż pani Szalkowskiej, musi go karmić samymi bakaliami.

— Todziu! Pan się mnie nie czepiaj!

— Todziu, pilnuj się, chłopaczku, bo możesz stracić miejsce.

— Daj spokój, Kos, za wiele sobie pozwalasz, cóż znowu! — szeptał trwożnie Todzio.

— Może który z panów zagra benefis<sup>27</sup>! — zaproponowała Korczewska.

<sup>26</sup> *Messalina, Valeria* (ok. 17–40) — trzecia żona rzym. cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków; skazana na śmierć za spisek przeciwko mężowi. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *benefis* — daw.: przedstawienie a. koncert, z którego zyski były przeznaczone dla jednego z artystów; dziś: okolicznościowe przedstawienie a. koncert dla uhonorowania artysty lub zespołu, najczęściej z okazji jubileuszu. [przypis edytorski]

— Dobra myśl! Tylko co grać i kto benefis weźmie? Okolica już jest potężnie wylepiona, przecież Stobek grasował tutaj przez dwa miesiące.

— Będziemy grać składanki! Dobrze! Panie Zakrzewski, siadaj pan, piszemy natychmiast afisz, da się do podpisu, odlitografujemy<sup>28</sup> i hajda na wieś z biletami, to jedyny ratunek! — wołał Korczewski, który już skończył jeść chleb.

Zakrzewski usiadł przy stoliku i czekał.

— Pisz pan: „Za pozwoleniem zwierzchności. Ostatnie pożegnalne przedstawienie na ogólne żądanie”. Datę się wpisze.

— Co za sztuki będziemy grali?

— Jest *Czula struna*<sup>29</sup>, *Piosnka wujaszka*<sup>30</sup> i *Icek zapieczętowany*<sup>31</sup>, doda się jakąś deklamację, mazur w cztery pary, i będzie dobrze.

— Pierw się utopisz, Korczewski, nim na taki afisz weźmiesz publiczność, tak!

— A gdzie się grać będzie?

— W hotelu jest pusta, duża stajnia, ustawi się scenę, ściany okryje świerkami, kandelabrami<sup>32</sup>, i jakoś tam będzie.

— A dekoracje?

— Psiakość słoniowa, zapomniałem na śmierć! Trzeba jakoś zrobić...

— Z czego i za co! Człowieku! nikt groszem nie śmierdzi.

— Co tu robić? — zamyślił się i wsadziwszy wedle zwyczaju palce w usta, chodził prędko i rozmyślał; naraz przystanął i rozjaśnionym głosem zawołał: — Zrobimy dekoracje! Kto ma jakie prześcieradła i ręczniki, słowem coś, z czego będzie można zrobić tylną ścianę i kulisy, proszę o zadeklarowanie. Kurtynę zrobi się z portier, hebesy<sup>33</sup> przecież pożyczą. Korniszon namaluje pokój i będzie cudnie, no tylko galopem!

— Niech Kos zagra benefis, on ma dużo przyjaciół.

— Jak Boga kocham, to niemożliwe<sup>34</sup>! Jakże ja się pokażę na świat w swoich lakierych<sup>35</sup>, w których tylko uszy są nie podarte, a mój ibercjerek, co?

— Feluś niech zagra — zaproponowała Gałkowska.

— Tak, ale nie, bo Feluś w swojej almawiwie mógłby się tylko powiesić uroczyście, a zresztą mnie się nigdy benefisy nie udawały.

— Graj pani z Jańciem — szepnął Korczewski.

— Co? może w tym płaszczyku pojedę? Nie chcę zmarznąć ani też narażać się na urągowisko<sup>36</sup>!

— Todziu, zagraj ty z żoną, macie tyle znajomości! — błagał już Korczewski.

— My nie możemy grać dla wielu przyczyn, ale ja mogę w mieście kilka biletów sprzedać — tłumaczyła żywo.

— Więc kto zagra benefis? — wołał Korczewski, wodząc wzrokiem po twarzach i garderobie zebranych. — Korniszon nie może, bo nie ma również palta. Oleś palto ma, ale nikt go nie zna.

— Niech zagra pan Zakrzewski! Ma elegancką garderobę, umie mówić po francusku, wie, jak się mówi z dziedzicami — zaproponowała Korczewska.

— Nie mogę, nie mogę! Mogę jeszcze natrafić w tej okolicy na jakiego kuzyna lub znajomego, a nie! Chciejcie, panowie, zrozumieć moje położenie.

— Nie chcesz pan ratować towarzystwa?

— Chciałbym, ale w ten sposób niepodobna, a zresztą nie znam okolicy, nie wiem nawet, jak się to robi.

<sup>28</sup>litografować — wykonywać odbitki metodą litografii; *litografia* (z gr. *lithos*: kamień, *graphein*: pisać): technika graficzna polegająca na odbijaniu kamiennej matrycy z łupku wapiennego, na której słabym kwasem wytrawiono rysunek, uprzednio naniesiony zatluszczającą kredką a. farbą. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*Czula struna* — jednoaktowy wodewil Clairville'a (własc. Louis-François Nicolaïe) (1811–1879) i Lamberta Thibousta (1827–1867). [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Piosnka wujaszka* — jedna z popularnych w 2 poł. XIX w. komedii autorstwa Jana Aleksandra Fredry (1829–1891). [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*Icek zapieczętowany* — popularna komedia ze śpiewami autorstwa Aleksandra Ładnowskiego (1815–1891). [przypis edytorski]

<sup>32</sup>kandelabr — duży, ozdobny, wieloramienny świecznik stojący. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>hebes (z łac.) — tępy, ograniczony, tuman. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>niemożliwe (daw.) — niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>lakiery — zgr. od: *lakierki*, buty z błyszczącej, lakierowanej skóry. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>urągowisko — drwienie z kogoś, wyszydzenie. [przypis edytorski]



Tłumaczył się miękko, bo zobaczył proszący wzrok Lili.

— Ja panu pomogę, pojedę z panem! No, musisz pan, mój królu złoty! Pan jeden masz garderobę i podobny jesteś do człowieka! Proście go, panie! — zawołał Korczewski.

Zakrzewski pomimo próśb całego towarzystwa opierał się dosyć długo, ale skoro w końcu przysła Lili i bardzo cichutko zaczęła prosić, nie mógł się oprzeć i zgodził się.

— Pisz pan afisz w dalszym ciągu, panie Zakrzewski: „Wielkie pożegnalne przedstawienie na benefis p. Leona Zakrzewskiego, art. dr.<sup>37</sup> teatrów lwowskiego i krakowskiego”.

— Dajże pan spokój, nie byłem nawet w Krakowie ani we Lwowie.

— To nic, panie, to dobrze robi na afiszu, ładnie brzmi.

— Benefis grać mogę, ale na taką błagę<sup>38</sup> się nigdy nie zgodzę.

— Z pana jest bardzo porządny szlachcic, ale bardzo... blondyn. Cóż to panu szkodzi mniej więcej? Egzaminu pan zdawać nie będzie ani do kozy<sup>39</sup> pana nie wsadzą za tytuł aktora lwowskiego. Pisz pan.

Zakrzewski napisał wreszcie, zzymnąwszy<sup>40</sup> ramionami.

— Jakież sztuki gramy?

— Zaczekaj pan. Przysła mi myśl mniej więcej. Na jednoaktówki nie polecą, to prawda. Mazur w cztery pary — dobrze, ale co więcej?

Ukrajał znowu kawał chleba, łamał go, jadł i biegał po pokoju coraz prędzej.

— Co więcej? Trzeba by dać coś z wielkiego repertuaru, coś, co grywają w Warszawie lub w Paryżu, coś, o czym piszą obecnie i mówią. Dlategośmy się przecież rozbili, żeby nie grywać *Młynarzów* i *kominiarzów*<sup>41</sup>.

— Powieś się z tym swoim wielkim repertuarem. Skądże się weźmiesz?

— Ty nie jesteś mądry, Feluś, nie! Cóż to, myślisz, że w tej podłej Kiernozi<sup>42</sup> chcę zagrać *Hamleta* czy inną jaką głośną szopę? Mnie potrzeba tylko głośnej sztuki na afisz, na przynętę dla tych hebesów.

— Nic nie rozumiem — szepnął Zakrzewski, kładąc pióro.

— Nic pan rozumieć nie potrzebuje, pisz pan: „*Gniazdo rodzinne*, dramat Sudermanna<sup>43</sup>, grywany z niesłychanym powodzeniem na scenach całego świata. Osoby”... Zaczekaj pan, jakie tam u diabła występują osoby?...

Zamyślił się i znowu biegał po pokoju.

— Zobacz pan w egzemplarzu, po cóż z pamięci?

— Ha! ha! Pan jesteś, panie Zakrzewski... jasny blondyn, ha! ha! Ja nie tylko nie mam egzemplarza, ale nawet afisza z tej sztuki nie widziałem na oczy, czytałem tylko o niej w pismach.

— Więc jakże u Pana Boga możemy ją zapowiadać i grać!

— Któż mówi o granii? My ją zapowiemy, a przed samym przedstawieniem, kiedy już teatr będzie pełny, kiedy pieniądze będą w kieszeni, zaanonsuje<sup>44</sup> się, że z przyczyn od nas niezależnych sztuki tej grać nie możemy, a natomiast zagramy trzy jednoaktówki, zakończone mazurem! Co, planik zły?

— Plan dobry, spektakl na pewno będzie nabity, ale co publiczność powie?

— Publiczność to wielkie stare ciele, obiecać mleka — przyleci; dać w to miejsce serwatkę — pobeczy, powierzą, ale wypije w końcu. Pisz no pan osoby.

— Zbabrze nas potem w pismach jaki skryba<sup>45</sup> za taki kawał — mruczał Feluś, chwytając się za nos.

— Dużo nam zrobi, przecież nikt z nas gazet nie czyta! Pisz pan osoby: „Magda Szulc, śpiewaczka”. Co trzeci Niemiec jest Szulcem. To dobrze, ale więcej nic nie pamiętam!

<sup>37</sup>art. dr. — tu skrót od: artysta dramatyczny. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>błaga — zmyślenie, bujda, kłamstwo. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>koza (pot.) — areszt, więzienie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>zzymnać — tu: niecierpliwie się poruszać, wzdragać się gniewnie. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*Młynarz i kominiarz* — jednoaktowa komedioopera Jana Nepomucena Kamińskiego (1777–1855), adaptacja fr. sztuki, której autorem był Alexis Guignard de Saint-Priest (1805–1851), znana też pt. *Kominiarz i młynarz*, czyli *zawalenie się wieży*. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Kiernozia — wieś w woj. łódzkim, ok. 20 km od Łowicza. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*Sudermann, Hermann* (1857–1928) — niem. dramaturg i prozaik; utworami scenicznymi (*Honor, Gniazdo rodzinne*) zdobył wielką popularność i zasłynął jako czołowy autor naturalistyczny. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>anonosować (teatr.) — zawiadamiać ze sceny o zmianie sztuki lub o zmianach w obsadzie ról. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>skryba — tu: pogardl.: pisarczyk, o dziennikarzu. [przypis edytorski]

Psiakość słoniowa! Poszła na scenę, potem powróciła do domu, ojciec umarł mniej więcej, tyle tylko pamiętam z recenzji. Śpiewaczka! Więc musiała mieć bębenka, arystokratę, barona albo hrabiego, wojskowego, nie ma przecież sztuki niemieckiej bez lejtnanta<sup>46</sup> — kombinował Korczewski, stukał palcem w czoło, zacierał ręce, aż zawołał: — Pisz pan: „Herman von Altona-Meklemburg, baron, kapitan huzarów<sup>47</sup>, kochanek Magdy; Gretchen, pokojówka Magdy”. Przecież wielka śpiewaczka nie może być bez pokojówki. A może dać kamerdynera? To lepiej wygląda. Nie, niech zostanie Gretchen. A teraz, teraz... Otylia, śpiewaczka, współzawodniczka Magdy, dawna kochanka barona”. Tak, tak, doskonale, przecież baron musiał mieć i dawniej kochanki, z tego robi się zazdrość, scena gwałtowna z Magdą, Magda robi wyrzuty baronowi, ten klęka, tłumaczy się, przysięga, że tylko ją jedną kocha! Ślicznie, cudnie!

Zaczął zacierać ręce i śmiać się z zadowolenia.

— Nie śmieć się, Lili, widzisz ją, o! — zawołał zmieszany, bo dziewczyna aż kładła się na koszu od śmiechu, taki był komiczny, gestykułując i grając już ten schemat komedii wymyślonej, przy czym każde słowo ilustrował ruchami i mimiką bardzo zabawną.

— Ponieważ powracała do domu, więc musi być jakiś ojciec, surowy, groźny, pastor, dajmy na to; jakaś matka skora do przebaczenia; jakaś młodsza siostra, jakaś ciotka, jakiś młody, ubogi krewny, kochający się w młodszej, jakiś pan wielki, który mógł Magdę uwieść i przez niego uciekła z domu; dodać jeszcze paru młodych ludzi i będzie dobrze. Pisz pan: „Johan Szulc, pastor, ojciec Magdy; Joanna, matka; Klara, młodsza siostra; pani Rauchbinder, ciotka; Ferdynand Müller, kuzyn; hrabia Wilhelm von Schwerin; baron von Herberstal-Oldenburg”. Oto dosyć.

— Meklemburg, Schwerin, Oldenburg! Cała obora zarodowa<sup>48</sup>! — śmiał się Zakrzewski, przepisując afisz na czysto.

— Gotowe! Moje złote panie, te prześcieradła, jak tylko można najprędzej, z kosztów się zwróci. Trzeba, żeby je Korniszon zaraz zaczął pacykować.

— Tak, gotowe, daj no, Korczewski, rubla *a conto*<sup>49</sup>, bo zdechnę ci przed przedstawieniem.

— I mnie musisz dać, bo przecież w takich butach grać bym nie mógł.

— To i o nas niechże dyrektor nie zapomni. Jańcio zarobi laubzega, to oddamy.

— Dobrze, dobrze, robaczki, cudnie, tylko jak was kocham, mniej więcej mam rubla, całego rubla w kieszeni — tłumaczył się Korczewski bardzo gorąco, bo zaczęli się rzucać i dogadywać, ale uspokoił wszystkich Zakrzewski.

— Ja mogę państwu pożyczyć piętnaście rubli do podziału, oddacie mi po przedstawieniu! — zawołał, dając pieniądze Korczewskiemu.

— Rzepa, nie chłop, tak! Powieś się, Zakrzewski, boś głupi — szepnął mu do ucha Feluś, ściskając równocześnie bardzo silnie jego rękę.

— Kto będzie przechodził koło mieszkania Korniszona, to może mu zanieś pieniądze i powie, żeby natychmiast przyszedł do mnie — powiedział Korczewski, rozdzielając pieniądze.

— Ja mogę wstąpić — ozwał się Zakrzewski.

— Może pan mnie odprowadzi, panie Leonie, bardzo proszę, mam nawet do pana interes — szepnęła mu cicho piękna Szalkowska, ogarniając go powłóczyстым spojrzeniem.

— Teraz nie mogę, przyjdę wieczorem, jeśli pani chce koniecznie.

— Wieczorem nie będę w domu! — syknęła zirytowana, że odmawia.

— To i lepiej — odpowiedział ostro i odwrócił się do Lili, która udawała, że nie uważa i nie słyszy tych kilku słów, ale gdy usiadł obok niej, spojrzała na niego bardzo wdzięcznym i słodkim spojrzeniem.

— Na ile prześcieradeł mogę liczyć?

— Ja mogę dać trzy, dwa muszę zostawić, nie mielibyśmy spać na czym — tłumaczyła się Galkowska.

<sup>46</sup>lejtnant (niem. *Leutnant*) — porucznik. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>huzar — żołnierz lekkiej jazdy. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>Meklemburg, Schwerin, Oldenburg! *Cała obora zarodowa!* — wchodzące w skład Cesarstwa Niemieckiego księstwa Meklemburgia-Schwerin oraz Oldenburg służyły z krów mlecznych. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*a conto* (wł.: na rachunek) — zaliczkowo. [przypis edytorski]

- My możemy dać cztery! raz... dwa...  
— To my tylko dwa, bo mamy całe cztery — zawołała Lili z rumieńcem.  
— Szalkowska! a pani nic nie dasz? — zagadnął milczącą Korczewski.  
— Dam sześc, Todzio zaraz przyniesie.

Mężczyźni nie deklarowali prześcieradeł, bo nic nie mieli.

— Jutro sobota, Wigilia! Szkoda, że nie możemy grać w drugie święto, teatr byłby pełny. Trzeba czekać do czwartku! Panie Leonie, w drugie święto pojedziemy na wieś z biletami, afisze będą jeszcze dzisiaj, lecę natychmiast do naczelnika, żeby zdążył podpisać. Dzisiaj jeszcze umówię się o stajnię, a od jutra Korniszon może zacząć malować dekoracje. Do widzenia! — okręcił się szalem i wybiegł, za nim rozchodzili się wszyscy.

Zakrzewski pomógł Lili się ubrać i wyszli razem, przeprowadzeni macierzyńskim spojrzaniem Korczewskiej, która w dalszym ciągu robiła szydełkiem kółka, liczyła oczka, wyglądała oknem i uspokajała głaskaniem wydzierającego się na świat Murzyna.

## II

— Panie Leonie — zaczęła Lili zaraz na ulicy, przysłaniając usta mufką<sup>50</sup>, bo wiatr sywał śniegiem prosto w twarz. — Proszę o rękę, prędko.

Wyciągnął do niej rękę, a ona przycisnęła ją do serca mocno, pogłaskała kilkakrotnie i bardzo szybko pocałowała, zasłaniając natychmiast mufką oczy.

— Co pani robi? — zawołał i aż przystanął ze zdumienia.

— Bo pan taki dobry, taki złoty, taki... strasznie dobry — szeptała, nie patrząc mu w oczy. — Ja panu dziękuję za te pieniądze, które pan dał wszystkim; nikt panu nawet nie dziękował, nikt nawet nie mówił o nie, a pan sam dał, może to ostatnie pieniądze!

— Cóż w tym dziwnego, oni potrzebowali, a ja miałem. Lili jest uprzykrzony, niezdolny dzieciak! Lili jest bęben, cicho! — zawołał, naśladując Felusia i jak on, pociągnął się za koniec nosa.

Lili rozśmiała się wesoło.

— Gdzie my idziemy, panie Leonie?

— Do mamy! Po drodze kupimy ciastek, a jak Lili będzie grzeczna, to nic nie powiem, że dziecko kokietowało Jańcia.

— Nieprawda! Jak mamę kocham, nieprawda!

Uderzyła się piąstką w piersi tak energicznie, aż Leon roześmiał się szczerze i miał szaloną ochotę ucałować te cudne, dziecinne prawie usta, które zacisnęła z wielką powagą rozkapryszonego dziecka.

— Ja nie kokietowałam Jańcia, ja nie kokietuję nikogo!

— Wierzę pani, wierzę.

— Nie trzeba mnie nigdy posądzać o to, panie Leonie, nigdy.

— Dobrze.

— Niech mi pan poda rękę! Tak, ale mocniej, mocniej! o, teraz dobrze.

Szeptała, przyciskając się do niego ramieniem i podnosząc cudne, błękitne oczy na jego twarz.

— Wie pan, ten inżynier powiedział mamie, że ja mam talent, czy to prawda?

— Prawda, ma pani talent do rozkochiwania w sobie.

— A nieprawda! Kto by się we mnie kochał, kiedy ja jestem strasznie głupia, strasznie, i tę rolę Justysi w *Dzienniczku*<sup>51</sup> grałam pod starym psem.

— Grała pani dobrze i jest pani strasznie ładna, strasznie! A przy tym bardzo dobra, bardzo zdolna, nic nie zazdrosna o rolę, ach, jaka dobra!...

— Nie, nie jestem dobra, nie — odpowiedziała poważnie i trzęsła główką przecząco, ściągnęła ciemne, prawie czarne brwi, aż się pomiędzy nimi zarysowała głęboka bruzda.

Zakrzewski się uklonił jakimś paniom przechodzącym obok; odkłoniły się lekko i obrzuciły pogardliwo-aroganckim wzrokiem Lili. Spozrzęła to, zarumieniła się mocno, oczy zaiskrzyły się jej, przycisnęła się silniej do niego i gdy już panie owe przeszły, odwróciła się za nimi i pokazała im język.

<sup>50</sup>*mufka* — kawałek futra zszytego w kształt walca z dwoma otworami po bokach, służący niegdyś do ochrony dłoni przed zimnem. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Dzienniczek* — *Dzienniczek Justysi*, komedia Józefa Kościelskiego (1845–1911). [przypis edytorski]

— Co pani robi?  
— A jędze obrzydliwe, Baby Jagi, bazyliuszki — szeptała ze złością.  
— Cóż one pani złego zrobiły?  
— Nie widział pan, jak patrzyły na mnie, co? Jak na jakie zwierzę z menażerii.  
— Ależ zdawało się pani, to są najinteligentniejsze w mieście panny, bardzo dobre!  
— Ale nie dla mnie. Mój złoty panie Leonie, zrobi pan, o co bardzo poproszę? co?  
— Prawie obiecuję, ciekaw jestem.  
— Niech się pan nie kłania, niech się pan z nimi nie zna, mój złoty, mój drogi panie Leonie! — prosiła ze łzami w oczach.

— Dlaczego? Proszę mi dać jakie racje.

— Bo one mnie nienawidzą! Ja to dobrze czuję, dobrze...

Wzdrygnęła się i bezwiednie obtarła twarz chustką, jakby chcąc zetrzeć te zimne i pogardliwe ich spojrzenia.

— Pan myśli, że one są tak piękne, jak wyglądają? Ta starsza przyczernia sobie powieki i brwi, dobrze kiedyś widziałam; a młodsza się różuje, naprawdę się różuje! Że one mnie nienawidzą, to już dawno czuję, dawno! Boże! jaka ja jestem głupia, coż to pana obchodzi? — wykrzyknęła.

— Nic mnie Lili nie obchodzi, nic! nic! — powtarzał cicho, przyciskając jej rękę tak silnie, że aż syknęła, ale rozpromieniła się wielką radością.

Szli w milczeniu, wymijali starannie olbrzymie kupy śniegu, z których wiatr zwiewał na chodniki obłoki kurzawy. Śnieg przestał padać, natomiast wiatr od czasu do czasu zrywał się gdzieś z pól i ze świstem przewalał się po ulicach miasteczka, kłębił w obłoku białych pyłów, zasypywał oczy, stragany pod ratuszem i okna parterowych domów, milknął nagle i jakby dławiony przez mróz, charczał i łomotał się po dachach blaszanych. Słońce wyjrzało blade, zimne, obumarłe i błyszcząco martwo jak wielka mosiężna tarcza, świeżo wyszorowana, zapalało nikłe skrzenia w śniegach, prześlizgło się po cichu po zmarzłych szybkach i zapadło znowu w białej kurzawie przestrzeni.

— Jedziemy jutro na wigilię na wieś — odezwała się po chwili.

— To już jutro wigilia? Prawda! Zapomniałem zupełnie. Daleko jedziecie?

— Będzie podobno z pięć wiorst<sup>52</sup>. To nasza gospodyni zabiera nas do swojej siostry. Ja chciałam, abyśmy pozostali w domu, aby i pan z nami był na wigilii. Ale... ale... Okropnie mi w nogi zimno!

Nie mogła wykrztusić, że nie mieli wprost za co urządzić wigilii.

— A pan gdzie będzie jutro wieczorem?

— Ja! ja — powtarzał wolno, budząc się z przypomnień, co go osiadły gwarną ciżbą — ja będę w restauracji! — kłamał z pewnym trudem; nie wiedział, gdzie będzie.

— Smutno będzie panu samemu, bez rodziny, co?

— Będę nie sam, będę ze wspomnieniem pani! — powiedział żywo, ale dosyć twardo.

Uderzył ją ten niespodziewany dźwięk; spojrzała na niego i nic się nie odezwała.

Poszarzał im nagle świat. On coś rzekł, ale słowa porwał mu wiatr, co buchnął z bocznej ulicy, i poniósł na pole. Szli środkiem ulicy, brodząc po puszystym śniegu, który kurzawą wstawał za nimi. Stare, poodbijane z tynków domostwa pochylały się z obu stron i patrzyły na nich zielonawymi oczami okien. Gromada dzieci biła się w jednym miejscu tak zajadle, że tuman białych pyłów otaczał ich obłokiem, w którym tylko chwilami czerniły się ich kontury; rześwe, młode głosy dźwięczały ostro w powietrzu i odbijały się o domy. Psy szczekały radośnie i tarzały się w śniegu pod nogami przechodniów.

— Wejdzie pan do nas? Choćby na chwilę — dodała, widząc jego omroczenie.

Skinął głową i weszli do parterowego małego domku, oddzielonego od ulicy sztachtami, malowanymi na zielono. Lili mieszkała z matką w małym pokoiku od podwórza.

Matka siedziała pod oknem, okręcona w koldrę, bo zimno było w pokoju; czytała odcinki dzienników, oprawne w niebieski aktowy papier; była to jej ciągła i ulubiona lektura. Podniosła oczy na wchodzących, skinęła Zakrzewskiemu głową i czytała dalej.

Lili poszła się rozbierać za parawanik, który osłaniał kominek i łóżko, a Leon usiadł na kanapce, której pokrycie było niegdyś wiśniowe i również niegdyś aksamitne i całe,

<sup>52</sup>wiorsta — daw. ros. jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

bo teraz nie miało żadnej barwy, a dziury i szwy niezliczone, i końce wyłamanych sprężyn pokryte były sztywnym pokrowcem. Stół staroświecki, okrągły, na jednej nodze, okryty włóczkową serwetą, dźwigał wielką lampę, osłoniętą abażurem z niebieskiej bibułki i stojącą na patarafce<sup>53</sup> z zielonej włóczki, imitującej trawę, z której wychylały się różowe gniazdko, pełne żółtych ptaszków, wyciągających niebieskie dzioby. Na ścianach, pokrytych błonniebieskim papierem w różę czerwone, wisiały jakieś stare fotografie, mające spłowiałymi, zatartymi twarzami jak widma, kilka pożółkłych portretów sławnych ludzi i dwa powinszowania, wyszyte na kanwie i oprawne w czarne ramy.

Podłoga była utrzymana niezmiernie czysto, ale każda deska z osobna ugięła się jak huśtawka, a stolik się kołysał i wysoka serwantka, stojąca pomiędzy oknami, brzęczała szybami i masą talerzy i cacek porcelanowych, jakie poza szkłem były ustawione. W rogu pokoju, poza matką, stała trzciniowa półka, pełna książek starych, poobdzieranych, i kompletów „Tygodnika Ilustrowanego”<sup>54</sup>. A nad kanapką wisiało stare, wpółosłepłe lustro w poczerńniętych ramach w stylu cesarstwa<sup>55</sup>.

W pokoju panowała wielka cisza, przesycona zapachem jabłek, które się czerwieniły spoza szyb serwantki<sup>56</sup>, i zapachem starości. Wszystko tutaj było tak stare, połatane, wytarte, stoczone przez czas i robaki, że tylko wielkim nakładem pracy mogło się trzymać w całości. Pokój odnajmowały od jakiejś staruszki, domierającej w sąsiednim od ulicy pokoiku.

Zakrzewski, ilekroć wchodził do tego mieszkania staroświeckiego, poważniał, bo mu ten pokój przypominał pokój babki i dom rodzinny. Teraz również miał takie uczucie, patrząc na drzwi, że za chwilę usłyszy stuk kija babki lub zobaczy wchodzącą matkę.

Lili w milczeniu uwijała się po pokoiku, a potem na dość długo zniknęła za parawanikiem, aż się ukazała stamtąd z herbatą już gotową. Włosy przy robocie tak się jej roztrzęły, że zakrywały czoło i spadały ze wszystkich stron na twarz.

— Co pani czyta? — zapytał matki, aby przerwać to dziwne milczenie, jakie panowało.

— *Tajemnice grobowca*<sup>57</sup>. Straszna rzecz! Nie ma pan pojęcia, co ta nieszczęsna Blanka cierpi. Biedny René. Mój Boże, mój Boże, jak to ludzie cierpieć muszą! — mówiła cichym, zmatowanym głosem, wstając, aby sobie wziąć herbatę; piła ją pośpiesznie, od czasu do czasu, czytając jakiś ustęp powieści.

Gdy skończyła herbatę, otuliła się w kołdrę, usiadła do nich plecami, zakryła uszy rękami i zatopiła się znowu w czytaniu, wycierając czasami oczy pełne łez współczucia dla nieszczęsnej Blanki i biednego René. A młodzi siedzieli przy stole, pili herbatę i bardzo mało mówili do siebie. Zakrzewski odpowiadał monosylabami, bo ten pokój dziwny, ta ordynarna łatanina, zimno i cisza dziwnie go rozdrażniały, a przy tym już od rana dzisiaj nosił w kieszeni list od matki, list, który go przepalał tęsknotą do domu i głuchym niepokojem o jutro. Lili bała się przerywać mu zadumę, więc tylko patrzyła na niego coraz smutniej i jakiś dziwny, nieokreślony lęk przejmował jej duszę.

Gdy wreszcie odchodził, prędzej niż zwykle, bo nie mógł już wytrzymać, odprowadziła go do sieni<sup>58</sup> i na pożegnanie cichutko zapytała:

— Ale pan przyjdzie jeszcze do nas?

I patrzyła mu w oczy ze strachem.

— Także zapytanie! Przyjdę jutro rano.

— Ale... ale pan się nie gniewa na mnie?

— A za cóż by, Lili? Czy ja mógłbym się na panią gniewać?

<sup>53</sup>*patarafka* — dekoracyjna podkładka pod lampę. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>„*Tygodnik Ilustrowany*” — popularne pismo ilustrowane o kierunku zachowawczym, wychodzące w Warszawie w latach 1859–1939. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*styl cesarstwa* (fr. *empire*) — styl w sztuce i architekturze, odmiana późnego klasycyzmu, związana z okresem panowania cesarza Napoleona I (1804–1815), nawiązujący do sztuki starożytności, cechujący się symetrią i dekoracyjnością. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*serwantka* (z fr.) — niewielka, oszklona szafka, służąca do przechowywania szkła, porcelany, drobnych ozdób. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*Tajemnice grobowca* — powieść sensacyjna autorstwa Xaviera de Montépin (1823–1901). [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*sień* — przelotowe pomieszczenie komunikacyjne pomiędzy głównym wejściem a dalszymi pomieszczeniami wewnątrz budynku. [przypis edytorski]

Uściskał jej ręce i poszedł. Wyjrzała za nim jeszcze, bo jej się wydało, że go już nie zobaczy nigdy, nigdy, i tak ją ta obawa zdenerwowała, że powróciła do mieszkania, położyła się na łóżku i ukrywając twarz w poduszkę, długo i boleśnie płakała.

### III

Zakrzewski znalazł się na głównym rynku. Nie wiedząc, co zrobić z sobą, zapuścił się w długą ulicę, wiodącą do rzeki, i szedł tak głęboko przejęty tym stanem, z którego sprawy zdać sobie nie umiał, że nie spostrzegł nawet kilku znajomych, którzy mu się kłaniali. Przeszedł długi, drewniany most i skręcił z szosy do parku, co się zaraz czernił nad rzeką wielką masą świerków. Chodził alejami, zasypanymi zupełnie śniegiem, i przez zasypy przedostał się na wyspkę, położoną w środku zamarzłego stawu, z którego wiatr wymiatał śnieg; na wyspce stała altana, osłonięta kołem wielkich świerków i modrzewi; usiadł tam, obejrzał się po roztrzęsionych, rozchwyanych, nagich gałęziach drzew, po tej olśniewającej białości śniegu, po dalekich, czarnych liniach horyzontu, zamkniętego lasami, i zerwał się szybko, chciał gdzieś biec czy uciekać, ale znów po chwili usiadł i chociaż mu zimno było, myślał:

— A co dalej? A co dalej? — powtórzył głośno i aż się przestraszył dźwięku własnego głosu.

Sześć miesięcy, spędzonych w towarzystwie aktorów, przesunęło się przed nim w porwanych, zaciemnionych obrazach.

— Jak to dawno! — myślał. — Jak to dawno!

I wielka, ciężka tęsknota za domem przywaliła mu duszę i zaczęła ją szarpać. Myślał o teatrze, ale z jakąś goryczą i żalem. Krótko to trwało, bo przesunęła mu się przez oczy duszy twarz Lili, twarz tak piękna, pełna dziwnego uroku, który go tyle miesięcy przykuwał do tej jarmarcznej budy. Przetarł oczy, jakby chcąc odegnać to widmo, ale było z nim tak silnie zrośnięte miłością, że nie zginęło w niepamięci, lecz przeciwnie, zaczął przypominać sobie tysiące chwil z nią razem spędzonych, tysiące słów, spojrzeń, tysiące szczegółów drobnych, dziecinnych niemal, ale które go rozrzewniały do głębi.

Wiatr się zerwał, przeleciał przez park z poświstem, zatargał świerkami przy altanie i strząsnął całe tumany świeżego śniegu, a potem wdarł się w gąszcze parku i trząsnął nagimi szkieletami tak mocno, że aż się z jękiem pochylały i ze świstem suchym przecinały powietrze gałęziami, i długo się chwiały, długo szumiały głucho, długo się uspokajały, aż stanęły w wielkiej ciszy, otulone zmrokiem, który już pełzał po śniegach i czał się po gąszczach i rowach głębokich.

Wiatr

Od miasta, które z altanki dobrze było widać, znad ozłoconych dachów, kominów, ścian, poprzecinanych oknami, nakrytych blaszanymi dachami, pokazało się olbrzymie stado kawek; z krzykiem opadały na park, wieszały się gałęzi i chwiejąc się razem z nimi i trzępiąc skrzydłami, krzyczały, biły się, podfruwały, zmieniały miejsce, aż w końcu wszystkie opadły na zasypany śniegiem gazon<sup>59</sup>, spod którego odgrzebały zamarzłego psa i zaczęły go rozrywać.

Leon nie zważał na to; zrobiło mu się zimno, więc zaczął spacerować po altance i z coraz większą żywością przypominał sobie poznanie Lili.

Pół roku temu był jeszcze w domu, przy gospodarstwie, w Łomżyńskim. Poznał Lili na przedstawieniu, jakie w sąsiednim miasteczku dawała nędzna trupa<sup>60</sup> prowincjonalnych aktorów; poznał ją i rozkochał się na śmierć.

Byłby cały majątek poświęcił dla niej, ale rychło się przekonał, że tą drogą nie dojdzie do celu, a że był bardzo zapalny i kochał się w niej namiętnie, rzucił dom i cichaczem wstąpił do tej samej trupy, aby tylko być z nią razem. Nie myślał wtedy, na czym się to skończy; widywał ją codziennie i codziennie przekonywał się, że to był jeden z najczystszych i najpiękniejszych kwiatów, jakie kiedykolwiek wykwitnęły na bagnistym gruncie teatru. Że to była dusza tak dobra, tak czysta, tak nieświadoma złego i tak wprost niezdolna do popełnienia czegoś złego, że uwielbiał i czcił ją jak świętą. Na razie to mu wystarczało.

<sup>59</sup>gazon — ozdobny trawnik obsadzony kwiatami i krzewami. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>trupa — zespół aktorów bądź cyrkowców. [przypis edytorski]

— Trzeba to jakoś wszystko skończyć! — myślał teraz, powracając wolno do miasta.  
— Ożenię się z nią! wyrwę z teatru i będziemy bardzo szczęśliwi, bardzo!

Ale nie uśmiechał się do tego pełnego upojenia życia z nią razem, bo nagle horyzont jego szczęścia zaćmił się, rzuciło nań wielki cień przypomnienie rodziców. Sposepniał, czuł, że będzie musiał stoczyć ciężką walkę o szczęście, ale równocześnie odczuwał w sobie ogromny zasób sił do tej walki i zdecydowanie, konieczność wygrania.

— A jeśli oni się nie zgodzą? A jeśli — wzdrygnął się i spojrzął szybko przed siebie, jak człowiek, któremu niespodzianie grunt usuwa się spod nóg. Zaczął poświstywać i rozbijać łaską śnieg przydrożny, szukał jakiegoś wyjścia, ale na próżno. — Coś się zrobi. Jakoś tam będzie! Czegóż ma się kłopotać? Ożeni się z nią, zawiezie ją do domu, przyjmą ich dobrze, to dobrze; a nie, to... to... jakoś tam będzie.

Pomyślał i odważnie ruszył naprzód. A musiał już serio się zdecydować na coś, bo w teatrze dłużej siedzieć nie mógł. Miał jeszcze kilkanaście rubli i czuł denerwujący dreszcz na myśl, że mogłaby przyjść chwila, w której trzeba wieść życie takie, jak wszyscy jego koledzy teatralni. To go najwięcej nagliło do stanowczego kroku, więc teraz, wracając do miasta, postanowił, że jutro najformalniej oświadczy się Lili; był pewien przyjęcia, bo dobrze wiedział, że dziewczyna go kocha.

W pomieszkaniu zastał swego współtowarzysza, młodego aktora, który od dwóch lat włączył się z teatrem, od lat dwóch zdychał z głodu i cierpiał nędzę nieopowiedzianą, ale nic go nie mogło zniechęcić do teatru i do Szalkowskiej, w której się kochał na zabój i dla której uciekł z gimnazjum, wyrzekł się rodziny i zapomniał o świecie całym.

Mieszkanie było mniej niż po kawalersku urządzone: łóżko, stół i dwa krzesła były całym umeblowaniem. Zakrzewski nie dbał o wygodę, bo dni całe przesiadywał u Lili i tam również się stołował.

— Masz pan dziesięć złotych *a conto*.

— Dziękuję! — rzekł cicho Olkowski, podnosząc się z siennika, na którym leżał okręcony w koldrę i różne łachmany, bo w mieszkaniu było bardzo zimno.

— Gramy w przyszły czwartek! — Zapalił swoją lampę, bo Olkowski czytał przy świecy, przylepionej do podłogi.

— Czy ja mam jaką rolę?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że pan coś będzie pokazywał.

Nie odrzekł zaraz, tylko przyglądał się pieniądzom i rozliczał je w myśli na cały tydzień.

— Będiesz pan pił herbatę? To zrobię.

— Owszem! To może być pan i w piecu napalił?

— Daj pan na węgiel; cukru ani herbaty również nie ma, a może pan będzie co jeść, to przyniosłbym zaraz.

Zakrzewskiemu jeść się nie chciało, ale po cichym głosie Olkowskiego poznał, że musiał nie jeść cały dzień, co zresztą często się zdarzało w teatrze nie tylko krowientom, ale i aktorom na stanowisku, więc dał pieniądze na szynkę. Wkrótce w piecu się paliło i pożyczony od sąsiadów samowar szumiał głucho. Milczeli obaj, bo Olkowski był bardzo nieśmiały i małomówny, a Zakrzewski był zbyt zajęty jutrem.

Leon położył się na łóżku, a Olkowski na swoim brudnym sienniku, który nie miał nawet prześcieradła, i obaj czytali, popijając herbatę.

Olkowski miał i woził z sobą całą pakę starych, okropnych dramidel<sup>61</sup>, które najsu-  
mienniej czytywał po kilka razy, a czytając grywał je równocześnie, bo ilekroć Zakrzewski spojrział na niego, zawsze widział to jego nędzną twarz głodomora rozpaloną wzruszeniem, to szeroką a mocną gestykulację lub słyszał szeptem wypowiedane tyrady<sup>62</sup>, a czasami widział, że Olkowski zrywał się z barłogu<sup>63</sup>, rzucał spieczonymi ustami jakiś frazes potężny, a potem kładł się i uspokajał na czas pewien.

— Cóż pan za głupie hece wyprawiasz! — zawołał Leon zirytowany, bo się to ciągle powtarzało.

Olkowski nic nie odrzekł, zgasił świecę i poszedł spać, ale rano miał mocno czerwone oczy i ślady lez na twarzy.

— Wie pan, dzisiaj Wigilia... — szepnął cicho i nieśmiało.

<sup>61</sup>*dramidlo* (pogard.) — kiepski dramat. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*tyrada* — długa wypowiedź, zwł. podniosła lub gwałtowna. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*barłóg* — nędzne, niechlujne legowisko. [przypis edytorski]

— Więc cóż? — zawołał szorstko Leon, którego to przypomnienie zabolalo.  
— Nic... nic... Przepraszam pana, pan się pewnie na mnie obraził wczoraj; może pan nikomu nic nie powie, bo znowu by się śmiali ze mnie.

— Nic mnie nie obchodzi, co pan robisz. Byłeś pan wczoraj u Szalkowskich?

— Byłem — odpowiedział ciszej i odwrócił głowę, aby ukryć pomieszenie.

Zakrzewski ubrał się szybko i wyszedł, na schodach już spotkał Szalkowskiego.

— Jest Olkowski?

— Jest, no, życzę panu, panie Szalkowski, przy dzisiejszej Wigilii wszystkiego dobrego i długiego szczęścia w małżeństwie! — powiedział ironicznie, uściśnął mu dłoń i pobiegł.

Szalkowski zaś wszedł do mieszkania, zamknął drzwi na klucz, usiadł przy stole i długo, bezmyślnie wpatrywał się w smugę słońca, wpadającą przez okno. Olkowski sprzątał swoje legowisko i często nań spoglądał, po kilka razy chciał zacząć mówić, ale nieśmiałość brała górę i milczał; tylko zrobił sobie herbaty, usiadł na złożonym pod piecem sienniku i pił z wolna, nie spuszczać z niego oczu.

— Jeszcze jej nie ma, uważasz, już po dziesiątej, a jej nie ma! — szepnął tamten więcej do siebie niż do Olkowskiego, który usłyszawszy wieść taką zbladł śmiertelnie i tak drzęc zaczął, aż dzwonił zębami po szklance.

— Czemuś pan pozwolił? — szepnął wreszcie cicho, ale z głębokim wyrzutem.

— Głupiś! Jakże ja mogę zabronić? Nie spałem całą noc, czekałem, bo mi powiedziała, że najpóźniej wróci o dwunastej! Boże, jaki ja jestem nieszczęśliwy! Boże, jaki ja jestem nieszczęśliwy! — zaczął wołać jęczącym głosem i chwycił się rękami za włosy.

— Dokąd pojechała?

— Do hrabiego! Ach, jeśli ja go nie zabiję, jeśli go nie zetrę w proch, jeśli nie odemszczę na nim wszystkich moich cierpień, to psem ostatnim będę. Słyszysz, Olkowski? Uderzysz mnie w twarz, jeśli tego nie zrobię.

— Ileż to razy pan tak mówił, co? — szepnął gorzko.

— Ale ci już ostatni raz powtarzam, ostatni, zobaczysz, ja zrobię dzisiaj coś, coś... straszego! Ja ją zabiję! — wykrztusił w bezsilnej wściekłości.

Olkowski uśmiechnął się smutnie, znał jego tchórzostwo i jego szalone, psie przywiązanie do żony, która zrobiła z niego lokaja.

— Nie zabije pan jej! — powiedział.

— Zmiażdżę, jak... jak to krzesło! — zawołał, chwytając za krzeselko i chciał nim rzucić o podłogę, ale się powstrzymał i postawił z powrotem; zaczął się znowu żalić, narzekać, przysięgać i odgrażać, przysięgał ze dwadzieścia razy, że zaraz po spektaklu, nie, po Nowym Roku, odjedzie, rzuci teatr, rzuci ją, wszystko, i pójdzie, gdzie go oczy poniosą, bo dość mu tej hańby i dość mu tej męki...

Olkowski już mu nie przeczył, słyszał przecież to samo przynajmniej raz na tydzień od lat dwóch, bo Szalkowski nie miał przed nim żadnych tajemnic i nieproszony, zwierzał się ze wszystkiego; tak było i teraz, opowiadał takie wstrętne szczegóły, iż Olkowski przerwał błagalnie:

— Dajże pan spokój, co mnie to obchodzi, to wstyd przecież.

— Co? nic cię nie obchodzi, nic, nic? — pytał z zaiskrzonym wzrokiem, posuwając się ku niemu groźnie, ale Olkowski się nie poruszał, pił herbatę razem ze łzami, co jak groch sypały mu się na chude policzki, i stawiając szklankę szepnął przez łkanie:

— Chciałbym umrzeć, chciałbym zdechnąć, chciałbym, bo już nie mogę, nie mogę dłużej cierpieć!

Zerwał się raptownie, chwycił czapkę i tłumiąc ryk, jaki rozsadzał mu piersi, uciekł na miasto.

Szalkowski wyszedł również, a zobaczywszy na ratuszowym zegarze, że już po wpół do jedenastej, poleciał pędem do domu, drżąc ze strachu, że może Hela powróciła, a jego tam nie ma.

Zazdrość, Tchórzostwo



## IV

Zakrzewski za resztę pieniędzy, jakie posiadał, zakupił u kupca różnych świątecznych wiktuałów<sup>64</sup> i kazał odesłać do Lili, odebrał następnie z poczty pudełko z kwiatami, sprowadzonymi z Warszawy, i poszedł z nimi do ukochanej.

Lili była sama.

— Mama poszła do Korczewskich, a ja czekam na pana, pójdziemy tam razem.

— A jak zupełnie nie pójdziemy, to co?

— A to nie, to będziemy siedzieć w domu, podzielimy się opłatkiem, już wszystko naszykowałam.

Wskazała na stoliczek pod oknem, nakryty obrusem, na którym stała wódka, kilka śledzi i talerz z opłatkami.

— Dobrze, podzielmy się. A za wszystkie życzenia niech pani przyjmie chociaż te kwiatki.

Otworzył pudło i wyjął cały pęk białofioletowych, storczyków o złotordzawych płatkach, konwalii zielonawych, róż czerwonych i różnokolorowych gwoździków.

— To dla mnie! To wszystko dla mnie! Jakie śliczne, jakie cudowne! — wykrzykiwała, cisnąc kwiaty do piersi i dotykając ustami każdego z lubością.

Cieszyła się jak dziecko, położyła je na stole i zaczęła układać w bukiet, ale po chwili kwiaty odsunęła i podnosząc na niego swoje cudowne oczy, szepnęła jakimś stłumionym, pełnym wdzięczności i lęku głosem:

— Jak ja panu dziękuję! Ja panu nie mam co dać, a tak chciałam, tak myślałam, tak marzyłam o tym i nie mogłam, bo... bo... — i nie dokończyła, łzy wypełniły jej oczy, a Zakrzewski porwał ją w ramiona, otoczył sobą, przycisnął do piersi i z całą namiętnością, długo skrywaną, zaczął całować jej włosy, twarz zarumienioną i te oczy pełne łez, miłości i uśmiechów.

— Nie można, panie Leonie, nie można! — szeptała przez łzy, na pół przytomna, i odwracała głowę, a bezwiednie cisnęła się do niego i oddawała pocałunki, i czuła, że jej jest tak dobrze, tak strasznie dobrze, jak nigdy w życiu nie było.

— Kocham cię, Lili! kocham cię! kocham... Spójrz na mnie! Jedyna!

Kłękając przed nią, objął jej nogi i całował kolana, małe stopy, suknie, wariował zupełnie.

Ktoś zastukał do drzwi, Lili wyrwała mu się z objęć i uciekła za parawanik, wszedł chłopak od kupca z pakietami.

Gdy znowu zostali sami, Leon poszedł za parawan; stała przy łóżku, zapatrzona z przysłoniętymi oczami w jakąś dal nieznaną; łzy płynęły jej po twarzy, ale słodki, dziwny uśmiech wiał się po jej rozpalonych ustach.

— Lili! Lili! — szeptał cicho i szedł ku niej, wyciągając ręce; skoczyła ku niemu, objęła go rękami za szyję i zawisła mu na ustach w długim pocałunku; wreszcie odbiegła i aby ukryć wzruszenie, choć drżąca cała, rozpakowała paczki, porozkładała wino, bakalie i wędliny, i strucle na stole i stając przed nim zawołała grubym, basowym głosem, naśladując Korniszona i gładząc się jego zwyczajem po głowie:

— Zakrzewski! to jest szlachecka rozpusta! Przez to wszystko diabli wzięli!

— Lili jest bachor, cicho! — odpowiedział Leon, pociągając się za nos; naśladował głos i ruch Felusia.

Rozśmiali się bardzo swobodnie i śmiali się bardzo długo, potem patrzyli na siebie i tak uważnie, jakby się widzieli po raz pierwszy.

Lili zaczęła szykować do śniadania, Zakrzewski pomagał jej bardzo gorliwie; zapominali, gdzie są i co się z nimi dzieje, a pomimo to — trzymali się już od siebie z daleka.

Przy śniadaniu siedzieli przy sobie, usługując sobie wzajemnie.

— Co ja bym robiła, gdyby pana z nami nie było? — zapytała jakby zdumiona.

— Usługiwałby pani Jańcio! — odparł przekornie i na przeproszenie zaczął całować jej ręce.

— Jańcio! a to zabawne! Jańcio! Gałkowska ról i peruki mniej pilnuje niż jego!

— Kiedy panie wyjeżdżacie na wigilię?

<sup>64</sup>wiktuały (daw.) — produkty spożywcze. [przypis edytorski]

— O szóstej mają przyjść konie po nas.  
 — A powrót?  
 — Jutro rano. Wie pan, przyszła mi jedna myśl w tej chwili, że przecież prędzej czy później to pan wyjedzie z teatru i powróci do domu...  
 — Tak, powrócę, nawet prędzej, niż pani przypuszcza.  
 — Prędzej? — zapytała cicho i podwinawszy rękę na stole, położyła na niej głowę i patrzyła w niego z niepokojem.  
 — Niezadługo, bo zaraz po benefisie.  
 — Nie żal panu będzie teatru? — pytała cicho.  
 — Nie, bez żalu odjadę, ale i bez goryczy.  
 — I nikogo panu nie będzie żal? nikogo? — dodała ciszej i zaczęła bić powiekami i przysłaniać łzawymi oczami.  
 — Prawie nikogo, bo przecież ci, których kocham, pojedą ze mną!  
 — Pewnie pan zabierze z sobą Olkowskiego, on taki biedny, taki nieszczęśliwy.  
 — Nie, nie Olkowskiego, ale narzeczoną.  
 — Pan ma narzeczoną tutaj?... narzeczoną?

Zaręczyny

Poblądła nagle, usta zaczęły jej drgać, wcisnęła się głęboko w kanapkę i patrzyła na niego zdumionym wzrokiem, a po twarzy jej, po ustach, po oczach zaczęły przebiegać jakieś drgania podobne do cieniów; była tak piękna, tak porywająco piękna z tym zdziwieniem, pełnym wielkiej trwogi i bólu powstrzymanego, z tymi ustami rozchylonymi jakby do krzyku lub do płaczu, że miał szaloną ochotę wziąć ją w ramiona, ale się powstrzymał, ujął ją za rękę i powiedział poważnie:

— Wierzę, iż narzeczoną mieć będę, bo Lili zechce zostać moją żoną, prawda?

— Jak to! ja pańską żoną?

Zerwała się cała w płomieniach.

— Panno Lili, kocha mnie pani troszkę? Prawda, że kocha! więc bardzo serio proszę, abyś zechciała być moją żoną. Wyjedziemy z teatru, zabierzemy mamę i pojedziemy na wieś, do nas. Tak dawno miałem to powiedzieć, tak dawno chciałem, tylko nie byłem pewien, czy mnie pani kocha... Ale dzisiaj już wiem, że mnie kochasz. Lili! Lili moja jedyna, mój ptaku złoty, nic nie mówisz! Powiedz słówko, jedyna! W twoje ręce składam całe życie... Lili, no... przemów!

Ale Lili nie odpowiadała, patrzyła w niego z przerażeniem; potem twarz zaczęła jej gorzeć<sup>65</sup>, pierś podnosiła się coraz szybciej, twarz się mieniła wszystkimi tonami uniesienia, miłości, szczęścia; w końcu oczy promieniejące zaczęły mętnieć i szklić się, aż wreszcie lzy jak brylanty zaczęły toczyć się spod czarnych rzęs i sypały się coraz gęściej. Pochwyliła z kanapy poduszkę, zakryła nią twarz i wybuchnęła płaczem.

— Lili, dziecko moje drogie, dlaczego płaczesz? Boisz się mnie, nie kochasz?... Przecież wiedziałaś, że dawno cię kocham, że tylko dla ciebie jestem w teatrze. Mówię ci dzisiaj o wszystkim, bo czas już skończyć. Lili, powiedz, kochasz mnie? Kochasz mnie, ty płaczkę boską, kochasz? — pytał.

Objął ją ramieniem i całował po włosach i twarzy; oderwała się od poduszki, zarzuciła mu rękę na szyję i okryła twarz namiętymi pocałunkami, a potem odsunęła się nieco i zapadła w głębokie zamyślenie. Spoglądała na niego z czułością i głębokim rozradowaniem, a lzy radości i szczęścia napełniały jej oczy i niby wielkie, jasne perły staczały się po twarzy.

Zaczął nową serię pocałunków, wyznań i pytań, ale nie odzywała się prawie, czuła się onieśmiałą. Nie mogła się oswoić z tym, co słyszała, bo nigdy nie myślała o czymś podobnym. Wiedziała, że ją kochał, kochała go również całą wielką pierwszą miłością!... Ale zostać jego żoną, rzucić teatr, jechać z nim, nie, tego nie mogła sobie pomieścić w głowie, nie mogła w to uwierzyć!

Chwilami się jej wydawało, że to tylko sen taki cudny, którego bała się spłoszyć najmniejszym ruchem, powstrzymywała oddech, siedziała z przymkniętymi oczyma długą chwilę, to rozglądała się dokoła i spostrzegła, że jest w mieszkaniu i że Leon siedzi przy niej, patrzy i mówi o miłości, przytomniała wtedy, rzuciła mu się na szyję i wołała:

<sup>65</sup>gorzeć — płonąć, palić się; tu: czerwienieć. [przypis edytorski]

— Jakiś ty dobry! Jak ja cię strasznie kocham! strasznie! strasznie! I ty naprawdę chcesz się ze mną ożenić? naprawdę?...

— Naprawdę, Lili! — odpowiadał poważnie.

— Przecież ja taka głupia! Nie, to nie może być, abys mnie kochał, nie... — wołała ze zdumieniem.

— Kocham cię, Lili.

— Jak to ma być! Ja pojedę z tobą do twoich rodziców! My weźmiemy ślub naprawdę? Ubiorą mnie w białą suknię z welonem — mam ślubną suknię z *Życia paryskiego*<sup>66</sup>, tylko trochę trzeba przerobić — w mirtowy wieniec<sup>67</sup>, będzie wesele, pojedziemy do kościoła, organy będą grały! I to wesele będzie naprawdę? I ja naprawdę będę twoją żoną, naprawdę będzie ksiądz, naprawdę będzie wesele i my naprawdę będziemy potem z sobą, naprawdę?

— Kocham cię, Lili! — odpowiadał niezmiennie, poruszony do głębi jej szczerą niewinnością.

— A potem będzie wielki bal, będziemy tańczyli! I nie będzie potrzeba rozbierać się prędko, pakować garderoby, iść do dyrektora po pieniądze! Więc to wszystko będzie naprawdę! Mój Boże! mój Boże, już nie rozumiem! Ty chcesz zostać moim mężem, ja mam być twoją żoną i to wszystko prawda?

Mówiła jakby w gorączce, nie mogąc uwierzyć, że to nie będzie przedstawienie.

— Prawda! Będziesz moją żoną, rzucimy teatr i zapomnimy o nim prędko.

— Nie będziemy w teatrze, a co ja robić będę?

— Będziesz moją żoną.

— Korczewska ma męża, Szalkowska też, a są w teatrze... Jak to, więc ja bym nie grała, nie chodziła na próby, nie uczyła się ról? Ale cóż ja bym robiła?

Pytała zdumiona i przestraszona tą pustką, jaką nagle zobaczyła dokoła siebie, odrywając się od teatru, nie znała bowiem innego życia.

— Dzieciaku mój, dzieciaku! — zawołał, uśmiechając się.

— No, dobrze — rzekła, ściągając brwi i myśląc coś głęboko — no, dobrze, a czym ja bym była?

— Żoną moją, panią moją kochaną! — odpowiedział trochę już zniecierpliwiony.

— Masz siostry i pewnie bardzo wykształcone?

— Mam.

— Twoi rodzice to wielcy państwo. Pamiętam ten wasz pałac, byłam tam u was z benefisem, z Korczewskim.

— Ależ to nie pałac, zwykły dwór, a moi rodzice bardzo dobrzy ludzie.

— Ty jesteś także wielki pan, nieprawdaż?

— Nie mów tak, jestem przede wszystkim twój.

— I bardzo mi dziwno, że kochasz mnie, że nie wstydzisz się kochać jakąś biedną, nieznaną dziewczynę.

— Lili jest bęben, cicho! — zawołał, chcąc jej przerwać. Ale ona nie roześmiała się, tylko snuła dalej nieubłaganie jakąś myśl, którą po raz pierwszy odczuła.

— Kochasz mnie bardzo? — zapytała, biorąc go za rękę.

— Nad życie.

— A długo będziesz kochał?

— Lili, na Boga, po co te pytania? — zawołał rozdrażniony i coraz bardziej niespokojny.

— I długo będziesz kochać, odpowiedz? — pytała nieubłaganie.

— Do śmierci, dziecko moje, całe życie!

— Jak Dżalma w *Tulaczu*<sup>68</sup>? Jak Zbigniew Amelię w *Mazepie*<sup>69</sup>? Jak Księżę Precjozę<sup>70</sup>?

— Nie, nie tak, jedyna, bo tysiąc razy silniej i wierniej.

— Dobrze, dobrze! Ale pamiętasz, jak jeździliśmy w Wieluniu z benefisem?

Wstyd

<sup>66</sup>*Życie paryskie* — popularna operetka fr. kompozytora Jacquesa Offenbacha (1819–1880). [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*mirtowy wieniec* — tradycyjny element stroju panny młodej, wykonany z gałązek *mirtu*, pachnącego, wiecznie zielonego krzewu pochodzenia śródziemnomorskiego. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*Tulacz* — *Żyd wieczny tulacz*, 10-tomowa powieść Eugène Sue (właśc. Marie-Joseph Seue) (1804–1857), wyd. 1844–1845. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Mazepa* — dramat hist. Juliusza Słowackiego. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*Precjoza* — tytułowa bohaterka dramatu lirycznego niem. aktora i pisarza Piusa Alexandra Wolffa (1782–1828), z dodatkiem muzyki Carla Marii von Webera (1786–1826). [przypis edytorski]

— Pamiętam, ale cóż to ma do naszej miłości?

— Zaczekaj. Pamiętasz ten dwór, gdzie nas zaproszono na obiad? Nie umiałam chodzić po posadzce, zaplątałam się o dywan, jadłam ryby łyżką, śmiałeś się potem ze mnie. A jak oni patrzyli na mnie, pamiętasz? Jasnie pani posadziła przy mnie guwernantkę<sup>71</sup>, bo się wstydziła siedzieć przy aktorce. Córki nie jadły obiadu razem z nami, chociaż były w drugim pokoju, pamiętasz? A jak patrzyli na mnie, w jaki sposób mówiła ze mną ta pani! Ja to pamiętam.

— Zdaje ci się, Lili, tak znów nie było! — tłumaczył jej zmieszany.

— Pamiętam dobrze, odczułam to głęboko, płakałam później, pamiętasz? Nie chciałam ci powiedzieć, dlaczego, bo bałam się twojego śmiechu, bo zresztą wstydziłam się ciebie, bo przecież ty nie nasz, nie taki, jak Feluś, Korczewski albo nawet Olkowski, a tyś taki sam pan, jak i ci obywatele, co przyjeżdżają na przedstawienie, jak i ci, co nas wtedy przyjmowali, a twoja mama musi tak samo traktować aktorki, jak tamta pani. Pokazywałeś mi list od matki, latem. Bawiliśmy się wtedy tym, co ona wypisywała na nas, pamiętasz?

Mówiła niepowstrzymanie i żal do tego świata, gniew i obawa drgały coraz silniej w namiętnych akcentach jej głosu.

Leon próbował tłumaczyć i bronić, ale mu nie pozwoliła dojść do słowa; wypowiedziała wszystko, co czuła, aż w końcu zmęczona usiadła obok niego.

— Panie Leonie! — szepnęła po chwili, ale tak cichutko i prosząco a błagalnie, że drgnął niespokojnie.

— Co! Kochasz mnie, Lili? Powiedz i nie myślmy już o czym innym, nie zatruwajmy sobie tych cudnych chwil. Kochasz mnie?

— Kocham cię! Kocham! — przytuliła się do niego z serdecznością, położyła mu głowę na piersiach i patrzyła w niego oczami pełnymi ognia i łez. — Kocham cię! — szeptała, dotykając z pieszczotą końcami palców jego twarzy, oczu, czoła, gładząc mu włosy — Kocham cię, mój lwie, mój mądry, mój dobry, mój jedyne, mój serdeczny, mój chłopaku złoty! Ja nie wiem, za co mnie kochasz, ja nie wiem dobrze, czego chcesz ode mnie. A jeśli mnie chcesz, to weź mnie sobie, zabij, zrób swoją służącą, byłem tylko była przy tobie, byleś mnie tylko kochał. Ja jestem głupia dziewczyna, ja jestem krowienta, ale tak Kocham mego pana, tak Kocham beZmiernie, tak Kocham! — szeptała upojona, oplótła go ramionami, całowała gorączkowo i wybuchnęła znowu takim spazmatycznym płaczem, że uciekła za parawan.

Nie poszedł za nią, bo nie śmiał, i coraz mniej rozumiał, co się z nią dzieje, po co mówiła mu o domu, co znaczyły te akcenty bólu w jej głosie i te łzy, które nie były łzami szczęścia, lecz jakby płaczem rozpacz. Nie miał czasu rozmyślać, bo weszła matka i już od progu mówiła:

— Czekałiśmy u Korczewskich na was, a z tego powodu Gałkowska robiła tak złośliwe domyslniki<sup>72</sup>, że chociaż jestem spokojna kobieta, nawymyślałam jej.

Zakrzewski się podniósł zmieszany, bo domyslniki musiały dotyczyć jego i Lili.

— Nie poszliśmy, bo... bo... ja się właśnie dzisiaj oświadczyłem pannie Lili... i jeżeli pani nic nie ma przeciwko temu, to proszę najuroczyściej o rękę córki. Sądzę, że już mnie pani poznała trochę, że moje zamiary były...

— Historie! Dalibóg<sup>73</sup>, że tylko napisać i przedstawiać! Historia, czysta historia! Gdzieś ja to czytałam, tylko nie pamiętam tytułu, że jakiś lord poszedł do cyrku, bo się zakochał w woltyżerce<sup>74</sup>, ożenił się z nią potem, ale ona umarła. Bardzo tkliwa, rozrzuwająca historia, płakałyśmy z Lili nad nią całą noc.

Zakrzewski przerwał jej trochę niecierpliwie i zaczął gorąco opisywać swoją miłość.

— Wierzę panu i jeśli Lili chce, to się pobierzcie, tylko dobrze się namyślcie, bo to sztuka nowa, niegrana, a role trudne!

Rozebrała się z salopy, zamieniła po cichu kilka słów z córką i usiadła na zwykłym miejscu, rozkładając książkę na parapecie, ale nie czytała; błędziła oczami po podwórzu,

<sup>71</sup>guwernantka — prywatna, domowa nauczycielka i wychowawczyni. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>domyslnik — zwrot aluzyjny, coś, czego trzeba się domyślać, niedopowiedzenie. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>dalibóg (daw.) — wykrzyknienie podkreślające prawdziwość wypowiedzi. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>woltyżerka — popisowa akrobatyczna jazda na koniu a. kobieta uprawiająca taką jazdę. [przypis edytorski]

pełnym drobiu, rozgrzebującego śnieg, i nierogacizny, tłoczącej się przy korycie, a myślami błądziła gdzieś daleko, może w przeszłości, bo na jej bladych ustach wykwitł dziwnie smutny uśmiech, jakby wspominała umarłych. Jej suchy profil miał ślady wielkiej piękności, a cały wyraz twarzy i przedwczesna siwizna świadczyły, że wiele cierpiała w życiu.

Zrobiła się przykra cisza, bo Lili wciąż szlochała za parawanem, a Zakrzewski nie wiedział, co robić ze sobą: przysiadł, to chodził, zaglądał za parawan, to znowu mówił o swoich planach, o przyszłym życiu z żoną, o swoich stosunkach domowych, o przyszłym szczęściu, o niezmienności uczuć swoich. Ale nikt nie odpowiadał, Lili płakała, a matka patrzyła w okno i potakując jego słowom, uśmiechała się smutnie. Nie mógł już znieść tego i wziął kapelusz.

— Panno Lili, może się pani ze mną pożegna, bo już wyjść muszę.

Podniosła, rozczzerwioną, zapłakaną twarz z poduszki.

— Do widzenia, wesołej kolacji życzę pani, przyjdę jutro, można?

Podał jej rękę przez wierzch parawanu, ujęła ją śpiesznie i bardzo mocno przycisnęła do ust; odsunął śpiesznie parawan i pocałował ją w czoło.

— Kochasz mnie? — zapytał cicho.

— Kocham cię, mój lwie, mój panie jedyny, kocham — chwyciła jego głowę w dłonie i ucałowała gorączkowo.

Powiodł pieszczotliwie ręką po jej włosach, pocałował ją w rękę i wyszedł.

## V

— Wszystko razem dowodzi, że to są najszlachetniejsze na świecie kobiety! — Tak sobie wytłumaczył w kilka godzin później ich zachowanie dziwne. Uspokoił się zupełnie, bo wiedział, że był kochany i że żadne przeszkody nie leżą na drodze do pełnego szczęścia.

Olkowskiego w domu nie było, natomiast zastał list od panien, które wczoraj spotkał z Lilą; zapraszały go w imieniu ojca, aby zechciał z nimi spędzić dzisiejszy wieczór wigilijny. Przeczytał go, schował do kieszeni i zapomniał o nim zaraz. W mieszkaniu było dziwnie zimno, pusto i brzydko, ale że nie miał gdzie iść, zaczął chodzić po pokoju i rozmyślać o Lili.

— Kocham cię! — powtarzał jak echo i rozplomieniał się, wyciągał ramiona, jakby chciał objąć tę drogą, ukochaną istotę, ale równocześnie jakiś ciemny niepokój przenikał mu serce, przyćmiewał wewnętrzne płomienie; stawał na środku pokoju bezradnie, oglądał się dokoła, słuchał, jakby chcąc się dowiedzieć, skąd pochodzą te dziwne dreszcze obawy, dlaczego są w nim teraz, w takiej chwili? Nie znalazł w sobie odpowiedzi, ale czuł coraz silniej, że przez tę jasność miłości, przez to jej promienne, słodkie „kocham cię” przenika coś niewytłumaczonego, podobnego do głuchej jeszcze obawy, a pełnego udręczenia bolesnego. Mrok cicho się zwiewał z pól zaśnieżonych i okrywał miasto szeroką mgłą, gdy znalazł się na ulicy.

Miasto cichło i niemiało z wolna, w powietrzu mroźnym czuć było jakiś nastrój uroczysty. Z okien były radosne światła zapalonych choinek, przez zamarzłe szybki wydierały się w świat radosne głosy. Nad rzeką zajrzał przez małe, nisko nad ziemią położone okienko do wnętrza jakiejś izby, na której środku stał stół jasno oświetlony i otoczony całą gromadą ludzi jedzących kolację.

Cofnął się prędko. Uśmiech politowania przemknął mu po ustach, poszedł dalej, ale przyszło mu na myśl, że pierwszą wigilię spędza nie w domu, lecz wprost na ulicy.

— Głupie przesady! — szepnął. — Gromadzą się w imię pełnej miski! — dodał z ironią i zaczął pogwizdywać, tłumiąc żal, bijący mu się przez serce.

Poszedł na rynek i wolno obchodził wszystkie jego cztery boki, patrzył z ironią na przysłonione firankami okna, poza którymi czerniały profile ludzi i skąd były gwary rozmów i smugi światła.

Mróz brał coraz siarczystszy.

Niebo skrzyło się i migotało blaskiem gwiazd, a gdzieś spoza lasów wschodził błądy sierp księżycy i świecił coraz jaśniej. Długie sople, wiszące u dachów, połyskiwały fosforycznie, a cynkowe dachy kościoła świeciły roztopionym srebrem. Jedną połową rynku rząd wysokich, kamienic kładł błękitnawy, ogromny cień na puszysty, świeży śnieg, leżący na bruku.

Zakrzewski przyjrzał się wszystkim domom po kolei, zajrzał w boczne uliczki i poszedł do cukierni, ale cukiernia była zamknięta. Nie wiedział teraz, co z sobą zrobić, dokąd iść, zaczynała mu ciążyć samotność i jakaś ostra tęsknota do domu, do gwaru i ciepła szarpnęła nim. Poszedł do Szalkowskich, bo mieszkali najbliżej; dopiero kiedy się z nią witał, przypomniał sobie, że dawał niegdyś Lili uroczyste przyrzeczenie unikania ich domu. Byli oboje, ona leżała na kanapie z papierosem w ustach i bawiła się z psem, była w szlafrocuku porozpinanym i w pantoflach, a on w kuchni razem ze służącą robił kolację; ukazał tylko głowę przez drzwi i nie podając ręki, bo trzymał oprawianą rybę, zawołał:

— Dobry wieczór. Miał pan doskonały pomysł, przychodząc do nas, bo Hela tak się nudzi, że miałem iść na miasto i sprowadzić kogo do towarzystwa.

— Zje pan z nami kolację, prawda? Musi pan z nami zostać, bo ja się śmiertelnie nudzę!

— Ja tylko na chwilę wpadłem do państwa, bo nie mam czasu — tłumaczył się.

— Pomówimy później. Siadaj no pan bliżej, o tutaj! — zepchnęła nogą pieska i nie podnosząc się z kanapy, wskazała miejsce przy sobie.

Usiadł na krześle w pewnym oddaleniu i patrzył na nią ciekawie.

— Boisz się pan przy mnie siadać; to ciekawe, jak Lili pana wytresowała!

Zaczęła się śmiać, podając mu papierosy, a gdy wziął i zapalił, zakrzyzczała:

— Jak to! a mnie pan ognia nie da?

Z zapaloną zapalką pochylił się nad nią, podając; wtedy ona pochwyciła go w pół i posadziła przy sobie.

— Siedźże pan tutaj, gdzie ja chcę. Todziu, daj nam herbaty!

Gdy Todzio wkrótce przyniósł herbatę i podał pokornie, rzuciła mu rozkazująco:

— A śpiesz się z kolacją. Czegóż patrzysz? Może się boisz, że Zakrzewski chce mnie bałamucić<sup>75</sup>! To się po nim nie pokaże — dodała ze śmiechem, ściskając mu rękę.

Todzio wyszedł, a pomiędzy nimi zapanowało kłopotliwe milczenie. Szalkowska trzymała go za rękę i patrzyła w niego swymi sennymi, hipnotyzującymi oczami. Patrzyła długo, czekała, żeby przemówił; ale Leon nie wiedział, co mówić: bał się okazać śmieszny, nie chciał i nie mógł z nią flirtować, bo kochał Lili, a przy tym trochę się jej bał, bo wywierala ona na niego dziwny urok. Ciągnęły go te wielkie oczy, obiecujące tak wiele, kusiły go jej pełne, zmysłowe usta i te wspaniałe kształty. Mocny zapach perfum, jakich używała, odurzał go i rozdrażniał.

— Dlaczego pan mnie unika, co? — zapytała prosto.

— Ja? Ależ nigdy nie unikałem pani, dlaczegożby? — czuł się mocno pomieszany.

— Byłam zła na pana, ale za dzisiejsze przyjście wszystko panu daruję. No, niech pan przeprosi mnie.

Podawała mu obie ręce do pocałowania, ale on nie pocałował, tylko uściśnął mocno. Wyrwała je gniewnie i podniosła się z kanapki, zapaliła świecę przed toaletą<sup>76</sup> i najspokojniej, jakby nikogo nie było w pokoju, rozpuściła włosy, które ją okryły niby płaszczem, i zaczęła się czesać.

— Do widzenia pani! — zawołał porywczo, widząc, że sobie z niego nic nie robi.

— Jak to, już pan ucieka?

— Ja nie mam czasu, a przy tym nie chcę pani przeszkadzać. Skinął głową i szedł do drzwi.

— Odchodzi pan, czyżby się pan mnie bał? — zawołała za nim ironicznie.

— O, pani dla mnie nie jest niebezpieczna — odpowiedział zirytowany, odchodząc.

Już był w pustym, zastawionym koszami z garderobą pokoju, przez który się przechodziło do sieni, gdy usłyszał za sobą skrzypnięcie drzwi i szept:

— Panie Leonie!

Zatrzymał się zdziwiony, ale już nie miał czasu odezwać się, bo mu jakieś namiętne, gorące usta zawisły na ustach.

— Dlaczego mnie unikasz? Kocham cię, słyszysz?... Czy nie widziałeś tego? nie czujesz?... Chcesz, to rzucimy tę budę i wyjadę z tobą do innego towarzystwa... Musisz być moim, tylko moim... kocham cię!

<sup>75</sup>bałamucić (daw.) — uwodzić. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>toaleta — dziś popr.: toaleta. [przypis edytorski]

Szeptala urywanie, namiętnie i obsypywała gradem pożerających pocałunków jego twarz, głowę, szyję, ręce. Nie opierał się jej wcale i zaczął oddawać pocałunki. Był tak onieprzytomniony, że kilkakrotnie wśród szeptów mówił do niej: „Lili!”. Nie słyszała tego, porwana szaloną burzą namiętności.

Wyrwał się wreszcie z jej ramion i uciekł.

Długo stał na ulicy; dopiero mróz przyprowadził go do równowagi i oprzytomnił.

I zalał go wielki żal do siebie, do własnej słabości; wstyd mu było, że dopuścił do takiej sceny. Złość go opanowała. Wylał twarz jak najstaranniej i chusteczkę odrzucił od siebie ze wstrętem, i usiłował myśleć o Lili, tylko o Lili; ale pomimo to czuł ciągle pocałunki tamtej, paliły go usta, wstrząsał się w denerwującym dreszczu.

— Co robić? Dokąd pójść? — myślał, przypatrując się oknom, które po kolei ciemniały.

Naraz trzasnął w palce i poszedł śpiesznie do Korniszona.

Korniszon mieszkał w gmachu poklasztornym, rozsypującym się w gruzy. Klasztor stał nad rzeką, w wielkim, na pół umarłym ogrodzie, otoczonym wysokim murem, jeszcze dobrze zachowanym.

Zakrzewski przez otwór, który pozostał po bramie, wszedł do ogrodu. Ciszej tu było niż na ulicy; wiatr nie szczypał w twarz, wielkie drzewa, pokryte oszczędliwą<sup>77</sup> niby puchem, skrzyły się w świetle księżyca i stały w sennej ciszy, kładąc wydłużone, fantastyczne cienie na śniegi. Obszedł ogromny, z czerwonej cegły kościół, podparty potężnymi szkarpami<sup>78</sup>, i zapuścił się w długie, czarne korytarze, pocięte smugami księżyca, które wlewały się przez wąskie, zakratowane okna i lśniły na wydeptanej, czerwonej posadzce z cegły. Cisza gnębiąca panowała w całym gmachu. Czasami zadrżał odgłos pękających od mrozu plotów lub nietoperz przewinał się z łopotem nad głową, albo śnieg zsunął się z dachów i fontanną białej kurzawy dzwonił po oknach. Wielkie, ascetyczne twarze mnichów, pokryte szronem, wychylały się czasami ze ścian w jaśniejszym rozblasku i jakby gonily oczami przechodzącego.

Przyśpieszył kroku, bo pootwierane drzwi do pustych cel wionęły na niego grobową atmosferą, a przy tym usłyszał niewyraźne, splecione dźwięki śpiewów, płynące z mieszkania Korniszona, położonego w końcu korytarza.

Pchnął niskie, zielone drzwi i znalazł się w wielkiej, sklepionej izbie.

Korniszon, Olkowski i Feluś siedzieli przed ogromnym piecem z zielonych kaffi, w świetle wielkiego, wesoło trzaskającego ognia, wybijali takt kijami i śpiewali, a przed nimi na ławce stała butelka wódki, chleb, kilka wędzonych śledzi i kartofle pieczone.

— Jak się masz, dziedzic? Ha! ha! ha! Wódzia jest, kartofle są, śledzie także, a jakże! Biba<sup>79</sup> wigilijna jak się patrzy! Siadaj — wołał Korniszon, usiłując się podnieść.

— Siadaj! Trochę sobie pijemy, trochę śpiewamy kolędę z żalości, trochę gadamy i dobrze nam. Olkowski, nalej sznytki<sup>80</sup>, za zdrowie dziedzica wypijemy i zaśpiewamy jaki chórek.

— Aha! Wódki już nie ma! Ha! ha! — śmiał się nieprzytomnie Olkowski, pokazując pod światło pustą butelkę.

— Felek, psiatwarz! Składka, panowie! Co tam! raz pijem i raz żyjem! Co łaska, panowie, do motij<sup>81</sup>.

— Mam pół rubla, bierz pół rubla! Tak, przepiję pół rubla, tak, utop się! — mruczał pijanym głosem Feluś i po dziesiątce wykladał pieniądze na ławkę.

— Zakrzewski, postaw pan za mnie, bo groszem nie śmierdzą.

— Jak ochota, to niech diabli pół rubla wezmą, tak, po pańsku, tak!

— Ano dobrze, mam dwa ruble, macie wszystko, niech diabli wezmą.

— A toś nasz, mój królu złoty! Daj pyska, to mi szlachcic prawdziwy! Zastaw się, a postaw się! Pijaństwo urządzimy jak się patrzy. „Wina, wina, wina dzban, to mi radca,

Alkohol

<sup>77</sup>oszczędliwa a. sędzieliwa (daw.) — szadź lub szron na gałęziach; por. sędziwy (daw.): siwy. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>szkarpa — dziś popr.: skarpa, przypora muru w kształcie wystającego na zewnątrz filaru. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>biba (z łac.) — pijatyka. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>sznytek (gw., z niem.) — porcja napitku, szklaneczka. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>motia (daw. z fr.) — spółka, współuczestnictwo. [przypis edytorski]

to mi pan!<sup>82</sup> — zaśpiewał nagle. — Olkowski, psiatwarz, a leć no po sznapę<sup>83</sup>, a śpiesz się, a przynieś na przekąskę parę szkieł piwa<sup>84</sup>.

— Zaczekajcie, zaraz przyjdę z paliwem! — zawołał Korniszon, wychodząc z Olkowskim.

Powrócił po chwili z wielką żerdzią i zaczął ją toporkiem rąbać.

— Ja kochanemu proboszczowi nieco płotek rozgradzam, bo za wysoki, mógłby przy przełazieniu podrzeć sobie kapotkę. Ale, psiatwarz, jedną żerdkę na dzień, ani mniej, ani więcej; u mnie wszystko musi być systematycznie.

Umilkł, nakładając w piec drzewa. Feluś w swojej manszestrowej<sup>85</sup> almawiwie, której nigdy prawie nie zdejmował, siedział zapatrzony ponuro w ogień, czasem pociągnął się za nos, powiedział bezwiednie: „Tak”, zrobił jaki szeroki, patetyczny ruch ręką i milczał. Zakrzewski rozmyślał o Szalkowskiej, spacerując po izbie, która niegdyś musiała być klasztornym refektarzem<sup>86</sup> lub paradną<sup>87</sup> do przyjęć sałą, bo ilekroć ogień strzelił bujniej na izbę snopami czerwonych promieni, w żebrach sklepienia ukazywały się resztki fresków, jakieś głowy brodate, aureole złote, kawałki purpurowych płaszczów i żółto malowane piekło, z którego zostały w całości tylko ręce potępionych, wyciągające się z zielonawych płomieni, to znowu kawałki tłumnych procesji, resztki białych mnichów ze złożonymi rękami.

— Zakrzewski! ostrożnie, bo tam moje malunki na podłodze.

Zakrzewski obszedł wielkie płótno, pozszywane z prześcieradeł, rozciągnięte na podłodze, na którym Korniszon malował tzw. „wolną okolicę”, i powrócił do pieca.

— Wiesz, Korniszon, bałbym się tutaj mieszkać.

— II... Jak się człek przyłoży, to mu i w piekle niegorzej. Nie kosztuje ta ubikacja ani grosza, a swoboda jest: choćby strzelaj, nikt nie usłyszy. A przy tym opał nie jest drogi... i stróżowi co wieczór dychy płacić nie potrzeba. A z tymi to się już poznałem! — zawołał ze śmiechem, wskazując freski. — Zlatują mi ciągle na koldrę, łuszczą się sieroty z zimna. A czasem to sobie rozmawiamy, psiatwarz! Niedawno jakoś, w przeszłym tygodniu, byłem nieco „wstawiwszy”<sup>88</sup>; poszedłem wcześniej spać, obudziłem się nad ranem, księżyc świecił wprost w okno, jak teraz... naraz słyszę śpiew. Ki diabeł? myślę sobie i słucham. Śpiewają w korytarzach! Myślę sobie: Kos z Felusiem i Olkowskim idą do mnie w odwiedzinę pod dobrą datą. Podniosłem się trochę i patrzę na drzwi... Otwierają się... wchodzi cała procesja... mnichów! Zemdlilo mnie trochę. A oni idą i śpiewają, i śpiewają... Jeszcze pamiętam słowa i melodię: *Laudate, pueri, Dominum! Laudate.*<sup>89</sup>

Zaczął śpiewać przyciszonym, grobowym głosem.

Zakrzewski wstrząsnął się nerwowo i spojrzał nieśmiało na freski.

— Doskonale pamiętam, przechodzili koło mnie... głowy wygolone, twarze blade, oczy zamknięte... ręce złożone... w białych habitach z czarnymi szkaplerzami<sup>90</sup> na piersiach!... Czekam, aż przejdą, trę oczy, zamykam... otwieram, a oni wciąż idą... idą... i śpiewają! Spocilem się do siódmej skóry, psiatwarz! Nieznaczenie chciałem zobaczyć, dokąd idą, oglądałem się, a oni chodzą tylko dokoła mego postania. Spałem przy ścianie... macam... ściany nie ma!... Jezus Maria! zaczęły mi zęby kłapać... Miałem przy poduszce flaszuchną gorzalkę, było tego z pół kwarty<sup>91</sup>... muszę mieć wódkę, bo jak wstaję, to mnie zawsze mdli coś w żołądku... Wyciągnąłem ją w największym strachu, przewróci-

<sup>82</sup> *Wina, wina, wina dzban, to mi radca, to mi pan!* — fragm. partii wokalne z VII sceny operetki *Nocleg w Apeninach* Aleksandra Fredry i Stanisława Moniuszki. [przypis edytorski]

<sup>83</sup> *sznapa* — *sznaps* (pot.): wódka. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *parę szkieł piwa* (pot.) — parę kufla piwa. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *manszestrowy* (daw.) — przym. od: *manszester*: rodzaj tkaniny bawełnianej (od ang. miasta Manchester). [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *refektarz* — jadalnia w klasztorze lub w innej instytucji kościelnej. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *paradny* — stosowany podczas uroczystości. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *byłem nieco „wstawiwszy”* (pot.) — wstawiony, podпиты. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *Laudate, pueri, Dominum! Laudate!* (łac.) — Chwalcie, dzieci, Pana! Chwalcie! (Ps 113 (112)). [przypis edytorski]

<sup>90</sup> *szkaplerz* — wierzchnia część habitu mnisiego (płat materiału zakrywający piersi, ramiona i plecy, z otworem na głowę pośrodku) oraz jedno z uznanych przez kościół katolicki dewocjonaliów; wyposażony najczęściej w wizerunek Matki Boskiej bywa noszony również przez świeckich i księży; jego założenie odbywa się uroczystość, a noszenie wiąże się z pewnymi pobożnymi obowiązkami. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *kwarta* — dawna miara objętości, zwykle ok. 1 litra. [przypis edytorski]



lem, hknąłem raz i drugi dla kurazu<sup>92</sup>... zamknąłem oczy i... obudziłem się w południe, psiatwarz.

— Pierwszy atak *delirium tremens*<sup>93</sup>, tak. Utop się, aby nie powiedziano, żeś się zapił.

— A rano nie było żadnych śladów, nic? — pytał poruszony opowiadaniem Zakrzewski.

— Nic, pustą butelkę znalazłem pod oknem, a siebie w środku siennika.

— Halucynacja, tematem były te freski, a przyczyną wódka.

— Jak chcesz, dziedzicu, ale ja doskonale widziałem i pamiętam... Olkowski wali. Panowie, do porządku, bo sznaps idzie! Dawajże, mazgaju! Tęsknimy, wyglądamy, a ty jak mucha w smole się ruszasz!

Odebrał wódkę, odkorkował, obejrzał i oddał.

— Nalewaj sznytki, Olkowski! Zrobimy cacany chórek, panowie. Tylko się pilnujcie taktu, bo będę grzmocił.

Wziął kieliszek, w drugą rękę pogrzebacz do dyrygowania i zaczął śpiewać ochryplym, przepitym głosem:

— „Pije Kuba do Jakuba, Jakub do Michała!”

— Chlust! Tryknijmy się!

Tręcili się i wypili.

— Olkowski, nalej sznytki!

Wypili znowu i śpiewali od początku; Zakrzewski tylko nie śpiewał; był jakiś smutny i znużony.

— Gdzież twoja Ofelijka, Hamleciku?<sup>94</sup>

— Cicho, Feluś! „A kto nie wypije, tego we dwa kije!”. Żle, Feluś, fałszujesz jak pies.

— Olkowski, nalej sznytki. Zacznijmy na nowo, no, raz... dwa, raz... dwa...

A kto nie wypije — tego we dwa kije!

Łupu-cupu po kożuchu, tego we dwa kije!

— Dziedzic się nudzi. Olkowski, dawaj szkło.

— Głupiś, Korniszon, dawajcie wódki; niech tam diabli wezmą resztę!

— Mądre słowo. Pij, bracie, psiatwarz, a poznasz słodkość! Lili wyda ci się aniołem, a życie specjałem. Pij, Olkowski, pij, bracie, a będzie ci się zdawać, że jesteś kochankiem Szalkowskiej, że masz fajgla<sup>95</sup>, że jadłeś przez cały tydzień obiady, że grywasz bohaterów! Pij, Feluś, pij, bracie kochany, mój królu złoty, psiatwarz, a twoja almawiwa grzać cię będzie jak futro i utopisz się w żarciu, a picciu, a kochaniu, a szczęśliwości! Pijmy! Pijmy, panowie! Patyk złamany reszta! Co tam będziemy myśleć: będzie co jeść czy nie będzie; uda się spektakl czy nie uda; kocha nas kto czy nie kocha; umrzemy czy nie umrzemy! Pijmy słodkość, bracia, psiatwarz, i tyle...

Zakrzewski siedział pod ścianą na sienniku Korniszona i błędnymi, sztywnymi oczyma wpatrywał się we freski, które z wolna światło księżycowe powlekało skrzącą, zieloną patyną niby mgłą rozdrzanych pyłów świetlistych, poza którymi te malowane postacie zdawały się poruszać, żyć... aureole świeciły jakimś fosforycznym blaskiem, oczy zdawały się patrzeć w niego, a całe te tłumy chwiały się i z wolna szły ku niemu w blaskach księżycy...

Strach przezwyciężył odurzenie, nie żegnał się z nikim, tylko śpiesznie poszedł do domu.

Obudził się bardzo późno.

Olkowski, jakiś zielonoblady, siedział na swoim sienniku z głową w dłoniach.

— Kiedyś pan powrócił?

<sup>92</sup>kuraz (z fr. *courage*) — odwaga, śmiałość; dla kurazu: dla dodania sobie śmiałości. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*delirium tremens* (łac.: majaczenie drżenne) — ostre zaburzenie świadomości występujące u nałogowych alkoholików, objawiające się halucynacjami, lękami, niepokojem ruchowym, drżeniem mięśni. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Gdzież twoja Ofelijka, Hamleciku? — żart. nawiązanie do postaci z dramatu Williama Shakespeare'a *Hamlet*: wrażliwa, delikatna *Ofelia* była nieszczęśliwie zakochana w księciu *Hamlecie*, targanym rozterkami wewnętrznymi idealistycznie. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>fajgiel (gw.) — rubel. [przypis edytorski]

— Nie wiem. Obudziłem się w klasztorным korytarzu, może przed pół godziną. Zimno mi i coś dziwnie słabo, głowa mnie strasznie boli...

Zakrzewskiemu zrobiło się wstyd wczorajszego wieczora.

— Pileś pan herbatę?

— Ba, herbaty nie ma, a ja nie mam ani grosza.

Leon sięgnął do kieszeni, ale również nie znalazł nic.

Ubrał się śpiesznie i pobiegł do Lili; nie przyjechały jeszcze; dotknęło go to bardzo przykro. „Dlaczego tak długo siedzą?” — myślał, ściskając głowę, bo go bolała; jeść mu się zachciało.

Poszedł do Korczewskich. Pili herbatę, siadł z nimi i pił, ale myślał z przerażeniem, że nie ma już pieniędzy; strach i wstyd go ogarniał.

— Afisz już mamy, jutro możemy na wieś jechać z biletami.

— Dobrze; zamówił pan już konie?

— Zamówiłem, tylko trzeba zapłacić z góry, bo inaczej nie chcą! Podłe Żydy! — zaklął Korczewski, chodząc po pokoju ze szklanką herbaty w ręku. — Musi mi pan pożyczyć pięć rubli na furmankę; z kosztów to się panu wróci.

— Pięć rubli? Wie pan, nie mam ani grosza... Tak jakoś się stało, że... — zamilkł nagle, wstyd go zdławił, bo Korczewski spojrzał na niego nieco drwiąco.

— Ja również nie mam; kupiłem płótna, bo prześcieradeł nie starczyło; będzie z nich pokój francuski, a musimy mieć dwie zmiany. Kupiłem farb, kupiłem sznurów, Korniszonowi musiałem coś dać naprzód. Mam zaledwie parę kopiejek. Co tu zrobić?

Oglądał po kolei to sprzęty, to garderobę swoją i żony, ale odwrócił się z niechęcią.

— Psiakrew, nie ma nawet co zastawić.

— Józio wczoraj zastawił obrączki nasze, żeby wykupić afisze!... raz... dwa... — szepnęła Korczewska cicho i robiła w milczeniu swoją nieśmiertelną szydełkową serwetę.

— Gdyby pan chciał, pogoda taka piękna, to poszlibyśmy pieszo do pierwszych kilku dworów... — zaczął nieśmiało Korczewski.

— Dobrze, wszystko mi jedno. Ostatni raz przecież.

— Bo widzi pan, jak tylko co sprzedamy, to wynajmiemy sobie furkę na wsi i dalej już pojedziemy.

— O której godzinie jutro?

— Najpóźniej trzeba wyjść o dziewiątej.

— Dobrze. Do widzenia.

Na ulicy sięgnął po zegarek, żeby zobaczyć, która godzina. Było już południe, a jemu przyszło na myśl, że przecież może ten zegarek zastawić, że może dostać za niego kilkanaście rubli. Poszedł do Jańcia, bo ten najlepiej umiał załatwiać podobne operacje.

Jańcia nie zastał. Była tylko Gałkowska, która z okręconą głową wałkowała jakieś ciasto i rozkładała je na łóżku i na koszu.

— Jańcio zaraz przyjdzie, niech pan poczeka — szepnęła i nie zważając na niego krzątała się dalej koło obiadu, który skwierczał na małym, żelaznym piecyku, rozpalonym do czerwoności.

Swąd z rozpalonego tłuszczu rozchodził się po całym pokoju, nadzwyczaj małym i brudnym, w którym do tego panował niechlujny nieład włóczęgowskiego życia.

Zakrzewski siadł przy stole, zarzuconym szminkami, pudrem porozsypywanym, nieumytych talerzami i szklankami, kawałkami chleba, pokapanym stearyną, bo świecę się przylepiało wprost do stołu. Siedział i czekał coraz niecierpliwiej; niepokój nim podrywał, spoglądał na zegarek, podnosił się, przypatrywał się pustej, zaśnieżonej ulicy, po której kilka sów spacerowało z powagą; wzdychał, zapalał papierosa po papierosie, a ciągle myślał: „Dlaczego ona nie przyjechała?”

— Co panu jest? — zapytała go ze współczuciem.

— Nic... nic! Bo widzi pani, niespokojny jestem o Lili, pojechały na wigilię, miały powrócić w nocy, a nie ma ich i dzisiaj — mówił gorączkowo.

— Po cóż się mają spieszyć! Tam im jest bardzo dobrze... — powiedziała zimno, akcentując ostatnie słowo.

— Tak, pewnie, ta siostra gospodyni ich ma być bardzo porządna kobieta.

Gałkowska zaczęła się śmiać cicho, obrzydliwie i długo, aż jej sinawa twarz pokryła się krwawymi plamami.

— Z czego się pani śmieje? — zapytał porywczo.

— Śmieję się z tej siostry gospodyni, która ma wąsy, brodę i majątek pod miastem...

— No tak, mówiła Lili, że ten majątek jest niedaleko pod miastem.

Nie zrozumiał jej.

— Jakże pan spędził wczorajszy wieczór? — zagadnęła spokojnie.

— Jak można najgorzej.

— Bardzo dobrze panu. Zupełnie pana nie żałuję, bo po co się pan marnuje w teatrze?

— pytała, krając ciasto na makaron. — Z miłości, nieprawdaż? — dodała.

— Pani wiesz...

— Wiem znacznie więcej jeszcze; wiem i to, że pan jesteś młody, szlachetny, uczuciowy i bardzo niedoświadczony, bardzo wierzący ludziom, pięknym słowom, słodkim spojrzoniom, przysięgom, słowem, temu, czemu najmniej można wierzyć.

— Nic pani nie rozumiem! do czego pani zmierza? — zapytał.

— Ja? Do niczego, mówię ot to, co mi życzliwość podyktowała. Żał mi po prostu pana.

— Dziękuję pani za współczucie i żeby uspokoić pani dobre serce, powiem otwarcie, że już tylko dni kilka przedziela mnie od wyjazdu z teatru. Jadę zaraz po benefisie.

— Dobrze pan robi, bardzo dobrze. Przejrzał pan nareszcie, to i lepiej. Być tak oszukiwanym niktzemnie, to nawet trochę śmiesznie — ciągnęła ciszej.

— Kto jest oszukiwanym? Kto oszukuje? Mówże, pani, na Boga! — zawołał.

— Przecież całe towarzystwo wie, ba, całe miasto mówi otym...

— Ale o czym? Błagam panią, mów!...

— A choćby o tym, że Lili wcale nie pojechała na familijną<sup>96</sup> kolację do siostry gospodyni...

— Tylko gdzie, do kogo?! — krzyknął uderzony tymi słowami jak batem.

— Podobno do hrabiego. Wiesz pan, ten, który jej wciąż kwiaty przysyła.

— Nieprawda! Kłamiesz, pani! To niktzemność tak spotwarzać czystą dziewczynę, to podłość!

Syczał z oburzenia i gniewu, posiniał, zaciskał pięści i patrzył na nią takim nienawistnym wzrokiem, że odsunęła się za piecyk.

— Nie krzycz pan i nie wymyślaj, bo nie jestem pańską służącą! To, co powiedziałam, wiedzą wszyscy; możesz się pan spytać Korczewskiej, a powiedzą pewnie więcej...

— Co więcej? Mów pani, ale uprzedzam, że Lili jest moją narzeczoną.

— Bardzo mi przyjemnie... pan się unosisz... ja z życzliwości dla pana mówię...

— Niech panią najjaśniejsze pioruny spalą z taką życzliwością! — krzyknął wściekły, nie umiając już panować nad sobą, i wybiegł na ulicę.

— Nędznicy! nędznicy! — myślał z rozpaczą i gniewem. — Lili! jego Lili! a ludzie szakale! I pomiędzy taką zgrają żyć musi jego słodka dziewczyna!

Poszedł śpiesznie do jej mieszkania.

— Jeszcze nie przyjechały. Czemu siedzą tak długo, czemu? — myślał wciąż w kółko i chodził bezmyślnie po mieście cichym, jakby wymarłym.

A gdy po nabożeństwie dzwony uderzyły i lud tłumnie wylał się z kościołów, i zaczerpnął po placach i uliczkach, Zakrzewski, nie chcąc się spotkać z nikim, uciekł do parku. Chodził tam samotnie i rozmyślał o Lili.

— Nędzna potwarz, niktzemne oszczerstwo! — Myślał o słowach Gałkowskiej, ale te słowa gryzły go boleśnie i budziły jeszcze niejasne, głuche podejrzenia, których na próżno chciał się pozbyć. Znał ją całych sześć miesięcy, znał każdą jej myśl, każde uczucie, całą głęboką szczerotę i prostotę jej natury; wiedział, że to była dusza tak czysta, jak te śniegi, na które w tej chwili patrzył; wiedział, że ona nie ma tajemnic przed nim, bo tajemnic w swoim życiu nie ma żadnych; znał z opowiadań matki prawie każdy tydzień jej krótkiego życia; wiedział wszystko, a pomimo to podejrzenia, jak śliskie, zimne węże, wiły mu się przez serce.

Te roje wielbicieli w każdym mieście, których zresztą zawsze mają młode i przystojne aktorki, z których razem z nią się wyśmiewał, te bukiety, jakimi ją zasypywali, owacje,

<sup>96</sup>familijny (z łac. *familia*: rodzina) — rodzinny. [przypis edytorski]

jakie jej urządzali, te listy miłosne, które razem czytali, bawiąc się przy tym wyśmianic — o tym wiedział; wiedział, że to wszystko ześlizgiwało się po jej duszy jak rosa po szkłe, bez śladu. Tak, wiedział, a pomimo to podejrzenia jego nie były mniejsze, lecz rosły z przerażającą szybkością.

— Wiem niby wiele, ależ ileż może być rzeczy, których nie wiem! których moja ślepotą nie widziała, moja ufność nie przypuszczała nawet! — myślał, szcękając z bólu zębami.

— Cóż to za medytacje? Dzień dobry panu!

Drgnął gwałtownie, podniósł głowę. Stały przed nim strojne, piękne, uśmiechnięte doktorówny, z życzliwością, wyciągając do niego ręce.

— Głowa mnie bolała, wyszedłem się przejść — tłumaczył się niechętnie.

— Szczęśliwy ból, bo nam pana da w niewolę, z której nieprędko wypuścimy.

— Dlaczego to pan wczoraj nie był łaskaw przyjść do nas?

— Musiałem być z kolegami, a potem, potem...

— Szkoda, bo czekałyśmy na pana do dziesiątej; ale dzisiaj zabieramy pana natychmiast do nas na obiad. Niech się pan nawet nie próbuje wyrwać! — mówiła ze śmiechem młodsza, niebieskooka blondynka, w błękitnym kaftanie, obłożonym białym futrem, i zagłądała mu bardzo życzliwie w oczy.

— A przy tym mama dosyć ważny interes ma do pana — dodała starsza, ubrana zupełnie czarno, co przy czarnych włosach, woalce i śniadej cerze sprawiało wrażenie żaloby.

Opierał się trochę, ale poszedł i usiłował być rozmownym, uprzejmym i nadskakującym pannom, co im się bardzo podobało, bo miały na niego pewne zamiary. Doktor, człowiek bardzo dobry, przyjął go z serdecznością.

Otoczyła go tak miła atmosfera, że czuł do nich wdzięczność, iż nie traktują go jako aktora-włóczęgę, ale jako człowieka ze swojej sfery. A przy tym byli tacy dobrzy, uprzejmi, dyskretni, uprzedzający; salon, do którego przeszli po obiedzie, miał eleganckie meble, puszyste dywany i lśnił pewnego rodzaju wykwiem, którego nie mogło być u kolegów, a do którego tęsknił bezwiednie. Jakieś kwiaty pachniały bardzo mocno w żardynierce<sup>97</sup> przy fortepianie, na którym blondynka wygrywała cały swój repertuar, a potem brunetka śpiewała kilka piosenek, w rodzaju *Dziewczę z buzią jak malina*<sup>98</sup>, olśniewając nie tyle głosem, ile doskonale uwydatnionym biustem i palącymi oczyma.

Pił likier jakiś, palił cygaro, pił czarną kawę, przyrządzoną przez doktorową, która mu półgłosem dawała życzliwe rady, żeby rzucił teatr i powrócił do domu, i gdy jej w rozrzwinięciu likierowym powiedział, że zrobi to za dni kilka, to nie tylko go po matczynemu ucałowała i przytuliła do wezbranej radością piersi, ale i ofiarowała gościnę u siebie na czas dłuższy, aby mógł przyjść do równowagi, co go tak rozrzwiniło, że całował przez kilka minut jej piękne, białe ręce, a potem, powróciwszy do salonu panien, pił znowu likier z doktorem i patrzył bezmyślnie na blondynkę, która rozłożyła przed nim album i pokazywała różne chwały rodzinne<sup>99</sup>.

Nie wiedział dobrze, co się z nim dzieje; rozmarzyło go ciepło, likiery i ten ból, który pomimo wszystkiego przeorywał mu serce. Czasem bezwiednie spoglądał na zegarek, ale wtedy panny zaklinały go, aby pozostał; więc siedział, starając się być najprzyjemniejszym towarzyszem i odpowiadając ze szczerością na życzliwe zapytania doktora, tyżące się jego rodziców, majątku itp.

— Musi pan w pewnej sprawie dopomóc! — zaczęła doktorowa, ujmując go pod ramię i prowadząc znowu do drugiego pokoju, w którym na wielkim stole leżało kilkanaście mniejszych i większych paczek.

— Z inicjatywy moich dziewczynek grono osób zrobiło małą składkę na rzecz pańskich towarzyszków<sup>100</sup>. Nie ma w tym nic ubliżającego. Są w chwilowej potrzebie, więc złożyliśmy tutaj najpotrzebniejsze dla nich rzeczy. A że nie chcemy żadnych podzięko-

<sup>97</sup>żardynierka (z fr.) — ozdoba stojąca półka pokojowa na rośliny doniczkowe. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*Dziewczę z buzią jak malina* — pieśń z towarzyszeniem fortepianu, kompozycja Jana Karola Galla (1856–1912) do słów Mariana Gawalewicz (1852–1910), będących tłumaczeniem wiersza Heinricha Heinego. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>rozłożyła (...) album i pokazywała różne chwały rodzinne — tzn. pokazywała zdjęcia chluby rodziny. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>towarzyszków — dziś popr. forma D. Im: towarzyszy. [przypis edytorski]

wań, przykrzejszych, co prawda, dla nas niż dla nich, więc posyłamy bezimiennie. Dla każdego w osobnej paczce. Biedni, doprawdy, ludzie! Opowiadano nam o nich bardzo smutne rzeczy.

Zakrzewski ocknął się dopiero i śpiesznie oglądał kartki z nazwiskami, poprzylepianymi do paczek. Odetchnął głęboko, bo swojego nie znalazł; ale nazwisko Lili, które ujrzał na mniejszej od innych paczce, przykuło mu oczy dłużej.

— Tej pannie posyłam trochę mniej! — zauważyła doktorowa z dyskretnym uśmiechem.

Spojrzał na nią pytająco, nie śmiać się odezwać.

— Bo podobno... ktoś się nią opiekuje dosyć gorliwie, więc musi jej na niczym nie zbywać. Te panie umieją sobie radzić! — wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Pani dobrze wie, że się nią kto opiekuje? — zapytał cicho, tak cicho i złowrogo, że doktorowa spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Przecież to powszechnie wiadomo, że hrabia!... Chodźmy do salonu.

Ale się odsunął gwałtownie, twarz mu pobladła z silnego wzruszenia, całą siłę woli zużywał na to, żeby nie uderzyć doktorowej krzesłem, którego poręczy trzymał się kurczowo. Wreszcie przez zaciśnięte zęby syknął:

— Pani!

Skłonił się sztywno i szedł ku drzwiom, ubrał się szybko w przedpokoju i zanim ona mogła zrozumieć, co się stało, był już na ulicy i biegł do Lili.

Jeszcze nie przyjechała.

Wrócił do domu. Olkowski leżał na sienniku i błędnymi oczami patrzył w sufit. Usta miał spieczone, twarz zielonawą i z daleka już zionął gorączką.

— Chory jestem, daj mi pan pić. Tak mnie głowa boli... boli... boli... — jęczał cicho.

Łzy płynęły mu po twarzy, nie obcierał ich, bo nie miał sił.

Zakrzewski podał mu szklankę wody, a że Olkowski ciągle się dopraszał o więcej, postawił mu całą konewkę, z której chory pił ustawicznie, a sam położył się na łóżku i najregularniej co godzinę wychodził zobaczyć, czy Lili przyjechała. Nie zastawszy jej, powracał, kładł się znowu i czekał...

Powróciwszy o zmroku, zastał Szalkowskiego, który był jakoś mocno wzburzony i nie witając się zaczął z miejsca:

— Ja mam do pana wielki żal, mogę powiedzieć, pretensję, powinien bym nawet żądać od pana satysfakcji<sup>101</sup> — mówił podniesionym głosem, stukając kijem o podłogę.

— Cicho pan bądź, widzisz, że Olkowski chory — rzekł Leon zimno.

Przypuszczał, że Szalkowski widział wczoraj wszystko i przyszedł robić awanturę, ale było mu to obojętnym w tej chwili; położył się na łóżku i patrzył w sufit.

— Przepraszam, bardzo przepraszam — szepnął Szalkowski, zniżając głos.

— Słucham pana! Mogę panu dać satysfakcję choćby w tej chwili.

— Ale cóż znowu! Panie Leonie, ja przyszedłem tak po przyjacielsku się poskarżyć, bo mam do pana żal, że pan Helence zrobił taką wielką przykrość wczoraj. Obiecał pan, że pan przyjdzie; czekała prawie do rana, a pan był u Korniszona. To się nie godzi tak zapominać przyjaciół. Helenka aż płakała ze zmartwienia, ona ma dla pana wiele życzliwości, wiele, jakby to powiedzieć, sympatii... i bardzo...

— Głupiec — rzucił mu na odpowiedź Leon wychodząc.

Nie wrócił zaraz, bo poszedł na drogę, którą wracać miały; zrobił kilka wiorst na próżno i dopiero powrócił, przysięgając sobie, że już więcej nie pójdzie.

Podczas jego nieobecności przyniesiono paczkę dla Olkowskiego, a dla niego list od doktorowej, w którym były takie ustępy:

„Chciałabym być siostrą miłosierdzia dla pańskiej duszy, chciałabym, abyś się wypowiedział przede mną! O, proszę wierzyć, że bardzo mocno uczułam pańskie wyjście... Co to było?... Biedna dusza, potrzeba ją otoczyć miłością, aby mogła zapomnieć ran... Nie pamiętamy już przykrości, jaką pan

<sup>101</sup>żądać satysfakcji — żądać zadośćuczynienia, tu: żądać przyjęcia wyzwania na pojedynek; dać satysfakcję: stanąć do żadanego pojedynku. [przypis edytorski]

nam wyrządził, odchodząc bez pożegnania. Na pańską intencję smażyliśmy dzisiaj paczki; dziewczynki moje same to robią. Będą wieczorem i Walewscy” itd.

List podarł.

— Idiotka! — mruknął i zapadł w dawne wiry marzeń bolesnych o Lili.

Olkowski zaś pomimo gorączki z ciekawością otworzył paczkę; była w niej herbata, tytoń, gilzy<sup>102</sup>, wędliny, chleb, strucl<sup>103</sup> z makiem, dwie koszule, trochę innej bielizny i dwa ruble. Obejrzał to wszystko, porozkładał na koldrze i cichym, przejmującym głosem zaczął śmiać się i krzyżeć.

— Hebesy! ha! ha! ha! Połcie świńskie!... ha! ha! ha! Filantropy<sup>104</sup>, ha! ha! ha! Bydło bezimiennie! ha! ha! ha!

Brzmiał ów śmiech tak ostro i nieprzytomnie, że aż Leon spojrział na niego i patrzył ze zdumieniem, bo Olkowski tymi przysłanymi rzeczami zaczął rzucać w ścianę przeciwną, rozbijając o piec, tuc o sprzęty... Mało mu było tego, bo się zwałował z barłogu i w koszuli, chudy jak szkielet, z oczami nieprzytomnymi, chwiejający się, darł, kopał, miażdżył i rozdzierał to wszystko, co mu przysłano.

— A dziadowizna<sup>105</sup>, a żebractwo, a hołota! a podli, podli! — krzychał coraz głośniejsze i coraz zapamiętałej niszczył wszystko.

Wyczerpany wreszcie z sił, upadł na środek pokoju, śmiał się i krzychał na przemian ogromnym, nieprzytomnym głosem.

Zakrzewski siłą go zaprowadził na barłóg, ułożył, pookrywał; leżał przez chwilę spokojnie, ale że choroba robiła zastraszające postępy, stracił zupełnie przytomność i zaczął się zrywać, chciał uciekać z krzykiem, to rzucał się do okna, aby wyskoczyć, tłukł i rozbijał się o podłogę, darł koszulę albo leżał cicho, bezwładnie jak drewno i jęczał ciężko, z oczami utkwionymi nieruchomo w jeden punkt.

Zakrzewski się nim zajął, ale nie wiedział, co robić, a że przy tym sam był do najwyższego stopnia zdenerwowany i nie miał pieniędzy, więc siedział przy nim bezradnie i czekał rana. Ale noc szła strasznie wolno, wlokła się nieskończenie, po tysiąc razy patrzył przez okno na schmurzony, poświstujący wichrami świat i po tysiąc razy z rozpaczą widział jednaką wciąż ciemność i pustkę na ulicach; myślał już chwilami, że dzień nigdy nie nadejdzie.

Olkowski leżał już zupełnie cicho, nie krzychał, nie rzucał się nawet, był zupełnie bezprzytomny, spieczonymi ustami poruszał bezustannie, ale bezdźwięcznie, a z otwartych szeroko oczów wypływał od czasu do czasu strumień łez i zasychał na pocerniałej, chudej twarzy.

Jak tylko świt się zrobił, Leon sprowadził doktora, który krótko zdecydował, że to najzwyczajniejszy tyfus, jeśli nie zapalenie mózgu, i wkrótce przysłał ludzi, którzy zabrali chorego do szpitala.

Zakrzewski, przemęczony tylu wrażeniami, poszedł spać, ale już o dziesiątej obudził go Korczewski, który przyszedł powiedzieć, że czas już iść z beneficem.

Leon pomimo znużenia wstał i ubierał się śpiesznie.

— A to co? Któż poniszczył to wszystko? — zawołał Korczewski, patrząc na podłogę pokrytą szczątkami.

— Olkowski z taką radością przyjął dary publiczności, że zostały tylko szczątki.

— Idiota, jak Pana Boga kocham! Pieniądze nawet podarł!

— No, więc cóż! Podobało mu się, to i podarł. Czy przysłali i wam?

— Przysłali. Bardzo porządni ludzie.

— Pan wzięłeś?

— A dlaczegoby nie! Mój królu złoty! My nie mamy, a oni mają, więc bierzemy, to takie proste. Nie widzę w tym nic ubliżającego. Jest u mnie paczka dla Lili, bo one nie wróciły jeszcze, a mieszkanie zamknięte.

<sup>102</sup>gilza — tu: papierosowa rurka z bibułki. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>strucl (z niem. *Strutzel*) — dziś popr.: *strucla*, podłużna słodka bułka drożdżowa, nierzadko z makiem a masą makową. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>filantrop (z gr. *philántropos*: kochający ludzkość) — dobrodziej, wspomagający ubogich. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>dziadowizna (reg.) — gromada dziadów, żebraków. [przypis edytorski]

- Byłeś pan u nich dzisiaj? — zapytał żywo.
- Stamtąd idę właśnie.
- Jestem gotów, możemy iść. Ma pan bilety i afisze?
- Mam wszystko.

Korczewski przeżegnał się na szczęście i poszli.

## VI

Przez miasto szli z miną ludzi używających przechadzki, a dopiero za rzeką, na szosie, Korczewski wyciągnął swój szal brązowy i okrzykiem nim głowę i szyję, a Zakrzewski postawił kołnierz od pałta, bo mróz był siarczysty. Słońce świeciło jasno, a długi szlak szosy, utartej znakomicie płozami sań, skrzył się migotliwie i chrupał pod nogami.

Maszerowali wyciągniętym krokiem i w milczeniu. Korczewski obliczał benefisowe szanse, a Leon patrzył na olbrzymią płachtę pól olśniewająco białych, jaka ich otaczała ze wszystkich stron, lub hardo, wyzywająco przyglądał się przelatującym mimo sankom i ludziom. Czuł przy tym jakąś dziecinno-słodką radość, że on, obywatelski syn, człowiek zamożny, człowiek mogący mieć na zawołanie setki koni i powozy, teraz oto, w ten świąteczny dzień zimowy idzie pieszo jak hołysz<sup>106</sup> ostatni, idzie prawie po żebraniu, bo czymże są w istocie podobne benefisy?

- To dla ciebie i przez ciebie!

Myślał o Lili, a zaczynał patrzeć na Korczewskiego i myśleć o pozostałych aktorach z nienawiścią, pełną pogardy. Ale ruch, surowe powietrze, szczypiące w twarz, i te wielkie przestrzenie pól dookoła zabierały mu coraz więcej uwagi, aż w końcu już nie myślał o niczym, tylko z przyjemnością spoglądał w złotą tarczę słońca, zawieszoną na bardzo bladym błękitcie, to na śniegi, po których wskroś skrzeń brylantów i szafirów leżały płyty bladego złota i przelatywały seledynowe smugi słonecznych refleksów.

Sinawa smuga lasów zamykała horyzont, a na tej olbrzymiej, białej płaszczyźnie pól siedziały ciche sznury wiosek, przywartych nisko do ziemi i dyszących różowawymi słupami dymów, wiły się nieskończone miedze pełne kamionek, obrośniętych tarniną, siedziały rozłożyste, obspane brylantowym szronem grusze, czerniały gdzieś tam w łąkach oparzeliska<sup>107</sup> bagniste, nad którymi pochylały się czarne, posępne olchy, mignęła czasami lustrzana tafla stawów zamrażniętych.

Cisza była nieobjęta, ale pełna czaru dnia mroźnego, pełna nieznanego szmerów, skrzeń, błysków i rzeźwej radości; czasem stado kuropatw przebiegło im drogę i zapadło naraz, nawołując się zawzięcie, albo wrony leciały gdzieś daleko, zapatrzone w słońce.

— Skręcamy na lewo! To Smardzew<sup>108</sup> państwa Kozłowskich. Sześćdziesiąt włók<sup>109</sup>, długów mało, dwie córki i żona, lubią się bawić — odezwał się Korczewski, czytając z kartki objaśnienia o właścicielu.

Skręcili zaraz na ledwie przetartą dróżkę, obsadzoną dwoma rzędami brzezinek<sup>110</sup> w połowie powyłamywanych. Już z daleka, wprost drogi, widniał wysoki dwór i migotał w słońcu oszklona weranda i killkunastu oknami, wielki ogród rozciągał się z jednej strony, a z drugiej, poza wysokim żywopłotem ze świerków, widać było dachy licznych zabudowań gospodarskich.

— Niech mi pan pozwoli mówić, niech pan tylko czasem przytakuje, jeśli się zwrócę do pana, i niech pan żadnych min nie robi, bo ze szlachcicami trzeba rozmaicie mówić, aby trafić do ich kieszeni.

- Dobrze, bo nie wiedziałbym, od czego zacząć.

W bramce opadła ich cała sfera psów, którą Zakrzewski musiał uspokajać; przestały wreszcie ujadać i całą gromadą odprowadziły ich pod sam dwór, w którego oknach pokazało się kilka twarzy i zniknęło natychmiast.

Weszli do werandy, a równocześnie od środka zjawił się niski, tęgi jegomość, śpiesznie wycierający ręce o marynarkę.

<sup>106</sup>hołysz (z ukr.) — golec, biedak. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>oparzelisko — niezamarzające zimą torfowisko, nad którym unoszą się opary (stąd nazwa). [przypis edytorski]

<sup>108</sup>Smardzew — wieś w woj. łódzkim, ok. 5 km od Sieradza. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>włóka — daw. jednostka miary powierzchni, równa 30 morgom, tj. wynosząca ok. 18 ha. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>brzezinka (pot.) — brzoźka. [przypis edytorski]

— Czy mamy zaszczyt mieć przed sobą szanownego dziedzica Kozłowskiego? — zaczął Korczewski, bardzo kordialnie<sup>111</sup>, potrząsając jego dłonią.

— Do usług, panie, tego i owego, do usług. Proszę panów dalej, bo tutaj zbyt zimno.

Uchylił drzwi i wpuścił ich do pokoju pierwszego zaraz za werandą. Korczewski najspokojniej odkręcał z szyi szal i ściągał okrywkę; szlachcic czekał, pokręcając wąsa i nieznacznie nogą wypychał pod kredens kilka par trzewików, stojących zbyt na widoku; a Zakrzewski, rozebrawszy się, patrzył ciekawie na stół, stojący na środku i pokryty talerzami z niedokończonym śniadaniem na kilka osób. Jakaś włóczkowa biała chustka jeszcze się chwiała na poręczy krzesła, zostawiona w pośpiechu. Samowar szumiał na stoliku.

— Szanowny dziedzicu dobrodziej! Mam honor się przedstawić: Korczewski, artysta dramatyczny i dyrektor towarzystwa, a oto kolega ze scen lwowskiej i krakowskiej, przybyły do nas na kilka gościnnych występów.

Szlachcic szarpnął wąsa, przestał wypychać trzewiki i wskazał im krzesła.

— Przyjechaliśmy do dziedzica dobrodziej, jako do znanego w okolicy mecenasa i protektora sztuki, z zaproszeniem na czwartkowy nadzwyczajny spektakl. Będzie to gościnny występ i zarazem benefis kolegi. Gramy *Gniazdo rodzinne* Sudermanna. Służę afiszem. Sztuka — arcydzieło, jak zapewne szanowny dziedzic już słyszał z angielskich i francuskich gazet, a jak się we czwartek będzie mógł szanowny pan osobiście przekonać. Panu dobrodziejowi służyć ilu bilecikami? Panie cztery w pierwszym rzędzie? No tak, bo i córeczek pan dobrodziej nie pozbawi uczestniczenia w tej prawdziwie artystycznej biesiadzie. Będzie to biesiada w całym tego słowa znaczeniu. Ręczy za to i autor, członek Akademii Francuskiej<sup>112</sup>, i benefisant<sup>113</sup>. Nie rumień się, kolego, bo wiemy, co o waszej genialnej grze pisały gazety niemieckie. Więc cztery bileciki? Dobrze? Przy przejściu, żeby było wygodniej? — pytlował<sup>114</sup> jednym tchem Korczewski, nie dając przyjść do słowa szlachcicowi, który pokręcał wąsa i oglądał się niespokojnie na drzwi. — Zimno, siarczyste zimno, a śniegi po pas. Ale jak mawiał mój świętej pamięci dziadek kasztelan: „W styczniu mrozy i śniegi, w sierpniu stodoły po brzegi”. Łajdackie zimno! Chcieliśmy we wsi dziedzica dobrodziej wstąpić na rozgrzewkę do karczmy — karczmy nie ma! Przeżegnałem się, jak to może być polska wieś bez karczmy! Powiadają nam, że dziedzic, aby uchronić ludność od pijaństwa, karczmę skasował, chociaż przynosiła mu wielki dochód! To chyba pierwszy podobny fakt u nas! Na kamieniu żeby nam się rodzili podobni ludzie, na kamieniu! Nie powozem jechaliśmy, więc przemarzłem do kości...

Zaczął grzać ręce przy samowarze, a patrzył na pękatą butelkę z wódką, stojącą na stole.

— A może byście, panowie, herbaty, tego i owego, wódeczki? Proszę bardzo, jak u siebie w domu! Franka! Maryna! A pójdz tu która! — huknął dziedzic, uchylając drzwi. — Bo to, panie, kobiety szykują się do kościoła. — Maryna! szturmaku<sup>115</sup> jeden, a ruszaj no się i nalej panom herbaty, a żywo! — krzyczał do rozrosłej, czerwonej i bosej dziewczki, która się wsunęła do pokoju, pochyliła się do kolan, pocałowała gości w ręce, ujmując je przez zapaskę, i nalewała herbatę.

Dziedzic przysuwał im różne wiejskie specjały, przepił do nich wódką i rzekł:

— Zaraz wróć! Spytam się żony, czy będziemy mieli we czwartek czas.

— Co pan wygadujesz! Ja się spalę ze wstydu! Po co ta bлага! — szeptał cicho Zakrzewski po wyjściu dziedzica.

— Boś pan zielony frajer! W inny sposób bym go nie „skantował”. Jakbym go nie wziął pod żebro, toby przez jakiego Maćka powiedział, że nie ma go w domu! Już ja ich znam; pozwól mi pan działać — odpowiadał najspokojniej i z wielkim apetytem zajadając.

— Dziwię się, że nas jeszcze za drzwi nie wyrzucił.

— Bo głupi. Ale o wyrzuceniu nie mów pan w złą godzinę, bo może to nas spotkać gdzie indziej.

<sup>111</sup>kordialnie (z łac. *cor*, D. *cordis*: serce, *cordialis*: serdeczny) — serdecznie, przyjaźnie. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>autor, członek Akademii Francuskiej — *Akademia Francuska*: instytucja mająca za zadanie chronić i promować język francuski, przyznająca nagrody literackie i stypendia; Istnieje od od 1635 r., liczy stale 40 dożywotnich członków, którymi zostają wybitni poeci, prozaicy, ludzie teatru, filozofowie, krytycy sztuki, naukowcy. Hermann Sudermann nie był członkiem Akademii. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>benefisant — aktor, na rzecz którego urządza się benefis. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>pytlować (pot.) — paplać, mówić dużo i szybko. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>szturmak (daw., pogard.) — niezadarna, tępą dziewczyna; popychadło, garkotłuk. [przypis edytorski]



— Proszę o sześć biletów w pierwszym rzędzie — odezwał się dziedzic, wchodząc i podając papierek dziesięciorublowy.

Korczewski z pośpiechem pieniądze wziął, bilety dał i dziękował.

— Uniżenie dziękuję! Serdecznie jesteśmy wdzięczni za poparcie naszego teatru i za naddatek! Mój Boże, żeby tak wszyscy rozumieli sztukę i jej posłannictwo, jak szanowny pan dobrodziej, to jej kapłani nie chodziliby w podartych butach! Bardzo dziękujemy za prawdziwie polską gościnność! Chodźmy, kolego, bo furman zmarznie nam. Polecamy się pamięci. Pani dobrodziejce całujemy ręczki, panienom nasze uszanowanie!

Wyszli. Zakrzewski z werandy obejrzał się, szlachcic stał w tej samej zdumionej postawie, z biletami w garści.

— Świetny początek! Sprzedaliśmy sześć biletów, mamy dwa ruble naddatku, zjedliśmy śniadanie, zabasowali<sup>116</sup> z wysokiego tonu głuptakowi, a teraz hajda na Soplęcę!

— Tak, ale jak na drugi raz zobaczą aktorów przed dworem, to każą ich psom przyjmować.

— Co będzie, to będzie, a grunt w tym, że mamy trochę gotówki! Obywatelu, a gdzie to droga do Drozdowa? — zawołał na parobczaka, który z za węgła im się przyglądał.

— A dyc<sup>117</sup> w podle<sup>118</sup> dwora do łąków, a potem z prawej ręki i już.

— Bóg zapłać! Bardzo piękny dzień.

Stary aktor się rozpromienił, zacierał ręce, gwizdał, śmiał się i rozmawiał z sobą, bo Zakrzewski mówić nie chciał; przegryzał go wstyd tej bezczelnej żebraniny.

Nie wrócili na drogę, lecz poszli przez ogród ścieżką, wijącą się przez łąki do sąsiedniego dworu oddalonego o wiorst kilka. Łąki były bagniste, pełne oparzelisk dymiących oparami. Szli bardzo ostrożnie, bo ziemia ugięła się pod nogami, a miejscami wpadali w kałuże wody, warstwą śniegu przykrytej. Cały system rowów przecinał im drogę i utrudniał, bo trzeba było z całą ostrożnością prześlizgiwać się po ledwie ściętych lodach lub przeskakiwać przez niezamarznięte bajory<sup>119</sup>, pokryte rudawką<sup>120</sup>. Zakrzewski, człowiek wsi, robił to bez trudności, ale Korczewski jęczał, kłął, namyślał się, obchodził niebezpieczne miejsca, aż się wreszcie w jakimś słabym miejscu załamał i wpadł w bagno do kolan, krzycząc wniebogłosy, że się topi. Musiał go Leon wyciągać.

— Psiakrew, takie porządki! Do kryminału bym wsadził właściciela za takie pułapki; ależ żebym był sam, utopiłbym się na pewno! — wyrzekał, wycierając zabłocenie śniegiem.

— Daj pan spokój, bo to są bagna i łąki, a nie gościniec<sup>121</sup> publiczny. Chodź pan prędzej, to odmarzniesz.

Korczewski przestraszony biegł prawie galopem, bo dolne ubranie sztywniało mu od mrozu i w butach miał pełno wody.

Dobiegli do dworu i chcieli wejść do sieni, ale była zamknięta; dopiero po wielu stukaniach zjawił się służący, obrzucił podejrzliwym spojrzeniem i zapytał:

— Co za interes i do kogo?

— Do dziedzica. Wpuść no, bracie, bo widzisz, stało mi się nieszczęście, wpadłem do wody.

— Nie można! Niech idzie do oficyny<sup>122</sup> się osuszyć — mówił pogardliwie lokaj, zapierając drzwi sobą.

— Zamelduj nas dziedzicowi, błaznie jeden! — krzyknął zirytowany Zakrzewski.

— Błaznie, nie błaznie, a tyś co za jeden? Widzisz go! włóczęga jakiś, będzie mi tu wymyślał! Jak zawołam ludzi, to wam pokażę, kto tutaj jest błaznem!

— Chodźmy stąd, bo nie wytrzymam i tego parobasa wygrzmocę — szeptał Zakrzewski, trzęsąc się z gniewu.

— Antek, co się tam dzieje? Co to za ludzie? czego chcą? — pytał ktoś, wychylając głowę lufcikiem.

<sup>116</sup>basować (daw.) — potakiwać, schlebiać. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>dyc (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>wpodle (daw.) — pod, obok, niedaleko, wzdłuż czegoś. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>bajor (daw.) — bajoro. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>rudawka — rdzawo zabarwiona woda na powierzchni łąkowych bagnisk. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>gościniec — trakt, droga. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>oficyna — budynek przy dworze, przeznaczony dla służby lub na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

— Panie dziedzicu, interes wyluszczy my, ale proszę nas wpuścić, bo mnie stał się wypadek, wpadłem w rów, jestem zmoczony; chciałbym się trochę wysuszyć, drzę z zimna — jęczał aktor.

— Co za interes? — zapytała głowa z lufcika, puszczając kłęb dymu.

— Jesteśmy artyści dramatyczni. Ale na miłość boską, bo zmarzną!

— Aktorzy! Niech Pan Bóg opatrzy! Antek, zaprowadź ich do kuchni! — rozległ się raz jeszcze głos i głowa zniknęła, a lufcik z trzaskiem się zamknął.

Poszli do tej kuchni, w której gotowano dla inwentarza. Zakrzewski całą siłą woli tłumiał gniew w sobie, ale milczeć i pozostać musiał, bo Korczewski mógł się przeziębić i zachorować.

W tej kuchni, mieszczącej się w starym gmachu po gorzelni, w norze pozbawionej podłogi, drzwi i okien, straszliwie brudnej i pełnej dymów i oparów z przegniłych kartofli, gotujących się dla krów w wielkich kotłach na olbrzymich denarach<sup>123</sup>, pod którymi palił się ogień, przesiedzieli z godzinę, susząc się. Jakiś ponury chłop, kuternoga, w baranym kożuchu, rozwartym na obrośniętych piersiach, w czapie baraniej, tak wielkiej, jak spory szaflik<sup>124</sup>, uwijał się przy ogniu, dokładał szczap i mieszał w kotłach.

— Wy tutejszy? — zapytał Zakrzewski, aby skrócić nudy oczekiwania.

— A tutejszy — mruknął chłop.

— A jak się nazywa dziedzic?

— A jaśnie pan!

— Jakie ma przezwisko? — zapytał niecierpliwie, chcąc się koniecznie dogadać.

— A Gwizdacz pedają<sup>125</sup> ludzie na nich.

I zamilkł, nie odpowiadając już na żadne zapytania, jakby nie do niego były zwracane.

— Nazywa się ta kanalia... Psiakrew, zimno mnie trzęsie! Zaraz panu powiem. Nazywa się Talkowski, kawaler, bogaty, stary dziwak i odludek — przeczytał Korczewski ze swojej kartki informacyjnej, którą schował starannie, i nadziawszy na kij kamasz, suszył go nad ogniem.

— Szkoda, że nasi nie mogą pana widzieć w tej pozycji, mieliby wesołość rzetelną — zrobił uwagę Zakrzewski, patrząc na siedzącego w kuczki na ławce Korczewskiego bez butów i bez ubrania, które rozciągnięte na wielkich łupkach drzewa schło przed ogniem.

— Zanim wyschnę, może byś pan próbował zobaczyć się z tym dziedzicem, a nużby co kupił?

— Nie pójdę.

Odpowiedział z taką stanowczością, że Korczewski już nie nalegał i milczał do samego wyjścia. Dopiero, gdy się znaleźli za wsią na wąskiej polnej drodze, prowadzącej do drugiego dworu, widnego<sup>126</sup> z daleka wysoką wieżą, odzyskał nieco humoru.

— Przeszłem niezgorzej, ale mi jeszcze mokro! Co, ładny numer ten obywatel? Niech go drzwi ścisną! Zupełne bydlę krajowego chowu! „Czy widzisz na tym stole butelek pełen kosz” — huknął dalej barytonem, aż rozległo się po polach i kilka wron, siedzących na przydrożnych drzewach, zerwało się z krzykiem. — Jedna wódka mocna i duża, jedno mięso duże, jedno piwo duże; na poprawkę jeszcze wódka i jeszcze mięso, no i piwko na drugą nogę! Psiakość sloniowa! żeby mi to kto postawił teraz, byłby dobrym chrześcijaninem.

— Ale pieszo to my niewiele zrobimy drogi, dwunasta dochodzi.

— Mój królu złoty, żebyśmy sprzedali w tym dworze ze cztery bileciki, to już ci zafunduję karetę o dwudziestu czterech oknach.

— Kto tu mieszka?

— Aha! Jakiś Kuczborski! Fiu, fiu! „Na Kuczborsku pan Kuczborski, wdowiec, trzy córki w domu, dwie guwernantki, długów dosyć, bardzo hojny, pisuje do gazet, oryginał”. Ładny numer. Mokro mi jeszcze, panie Leonie!

Zakrzewski nic nie odpowiedział. Myślał o Lili, a zresztą zapadł w stan ostrej apatii. Było mu już wszystko jedno i to tak zupełnie, że gdy weszli w bramy Kuczborska i psy

<sup>123</sup>denar (daw.) — żelazny trójnóg używany jako podstawa pod kocioł a. garnek. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>szaflik — drewniana misa a. wiadro. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>pedają (gw.) — powiadają. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>widny (tu daw.) — dziś w tym znaczeniu: widoczny. [przypis edytorski]

opadły ich całą zgrają i zaczęły zajadłe docierać, wlaź na płot i śmiał się z Korczewskiego, który stał i krzyczał na ludzi, żeby go przyszli ratować.

Jakoż służba pośpiesznie ich oswobodziła i dostawiła do pałacu przed pańskie oblicze.

Pan domu, wysoki, chudy, kanciasty, z wielkimi bokobrodami szpakowatymi, z miną lorda lub szwajcara<sup>127</sup> z wielkiego domu, przyjął ich skinieniem głowy, nie wyjmując rąk z kieszeni.

Korczewski przedstawił siebie i towarzysza, wyluszczył cel przybycia, ale przede wszystkim przyznał się do zamknięcia, opowiedział złośliwie przyjęcie w sąsiednim dworze i prosił o samotności nieco, pusty pokój i ogień w piecu.

Gospodarz zmusił drewnianą twarz do zimnego uśmiechu i oddał go w ręce lokaja, Zakrzewskiemu zaś przysunął papierosy i chodził po pokoju, wyglądając co chwila oknami.

Milczenie zaległo głębokie. Po kilkakroć Leon zaczynał mówić, ale w miejsce odpowiedzi widział zawsze ten zimny, ostry uśmiech, jednostajny ruch palców, rozczesujących bokobrody, i martwe, jasne oczy, podobne do rybich, wpatrzone w okno. Więc żeby przerwać nieco nudę, usiadł do otwartego, wspaniałego fortepianu i wziął kilka akordów.

Kuczborski wolno i najspokojniej podszedł, zamykając mu fortepian przed nosem i powracając do dawnej przechadzki po pokoju. Leon się zerwał i groźnie spojrzął, ale znowu zobaczył ten sam uśmiech, ruch palców i martwe oczy, więc usiadł w jakimś fotelu przy stole środkowym i zaczął oglądać wspaniałe albumy malarzów<sup>128</sup> holenderskich.

— Przepraszam — szepnął Kuczborski, wyciągnął spod niego fotel, pchnął go pod okno, podsuwając natomiast proste trzcinowe krzeselko; albumy zamknął i przeniósł je na drugi stół, a w miejsce ich położył przed zdumionym kilka numerów dzienników i stos fotografii obrazów współczesnych i jakby nie widząc oburzenia Leona usiadł przy małym stoliku pod oknem, wziął lupę i zaczął z największą uwagą przyglądać się jakiemuś sztychowi<sup>129</sup>.

Leon już się nie ruszał na krzesło; przypatrywał się tylko ciekawie Kuczborskiemu i pokojowi, który był zastawiony bibliotecznymi szafami i półkami, pełnymi flaszek, chomąt<sup>130</sup>, szorów<sup>131</sup>, starego żelastwa i modeli narzędzi rolniczych. Na ścianach, obok wspaniałych sztychów, wisiały plany płodozmianów, broń myśliwska, cały komplet batów i malowane ogrodowizny.

— Właściwie czego panowie chcecie? — zagadnął po długim milczeniu Kuczborski.

Zakrzewski wyluszczył cel odwiedzin.

— Nie cierpię takich głupich małpowań sztuki. Teatr uważam za rozsądnik głupstwa, słyszysz pan, za rozsądnik głupstwa — powtórzył z naciskiem. — Aktorów przepędziłbym przez różgi i zamknął w domu poprawy. Słyszysz pan?

— Słyszę, bo niestety nie wynaleziono jeszcze ochrony słuchu przed słuchaniem głupstw!

Kuczborski odwrócił się do niego prędko i długo patrzył mu w oczy, ale wszedł Korczewski i zaczął mu dziękować za swoje wyschnięcie i zapraszać na przedstawienie, zachwalając grę i benefisanta na swój sposób.

— Nie błaznuj pan. Proszę o dziesięć biletów, wysłę służbę.

Korczewski olśniony podawał mu bilety i znowu zaczął gadać.

— Cicho pan! oto pieniądze. Moje konie odwiozą was do sąsiada, żegnam. Andrzej, wyprowadź panów — odwrócił się do okna i spokojnie gładził bokobrody; jeszcze się ubierali w przedpokoj, gdy usłyszeli jego drewniany, surowy głos:

— Andrzej! Wypędzę cię na cztery wiatry, jak mi będziesz puszczał do dworu pierwszych lepszych włóczęgów! Słyszysz, Andrzej?

<sup>127</sup>szwajcar (daw.) — odzwierciany, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>malarzów — dziś popr. forma D. lm: malarzy. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>sztych — rycina odbita z obrazu wyrytego na metalowej płycie. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>chomąto — część uprzęży konia pociągowego, rodzaj wyścielanej drewnianej ramy zakładanej na szyję zwierzęcia. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>szory — rodzaj końskiej uprzęży; szeroki skórzany pas zakładany na pierś konia wraz z pomocniczymi rzemieniami. [przypis edytorski]

Wyszli śpiesznie, przed dworem istotnie już czekała para koni, zaprzężona do małych sanek, którymi dojechali do dworu sąsiedniego. Stangret<sup>132</sup> miał polecone dowieźć ich i wrócić natychmiast.

We dworze nie zastali nikogo, bo wszyscy pojechali do kościoła. Z trudem we wsi wynajęli chłopą, który się zgodził obwieźć ich po sąsiednich dworach za skromną sumę rubli trzech.

Wiodło im się dosyć szczęśliwie, sprzedali jeszcze kilkanaście biletów, dwa razy tylko wylecieli do rowu, bo saneczki były z tzw. „obrębkiem<sup>133</sup>”, który po utartej szosie zmiatał wciąż z jednej strony na drugą; w kilku domach nie zastali nikogo, w jednym powiedziano im, że nie trzeba, że kupią sobie w kasie, raz tylko im nawymyślano i wyrzucono za drzwi, i raz wzięto za złodziejów i chciano odstawić do wójta.

— Mam już dosyć wrażeń, wystarczy mi na całe życie, może byśmy wracali? — zaczął Zakrzewski.

— Mam jeszcze dwa dwory, w których na pewno sprzeda się kilka biletów, mam zanotowane. Pierwszy dwór to Rędziny, wielki majątek, pałac, hrabina Lubińska, wdowa! A drugi — jakiś pan Maleniecki, bardzo bogaty, od piętnastu lat nie rusza się z domu, bzik, nadzwyczaj hojny i wspaniały, dwór po książęcemu!...

— No, więc jedźmy do hrabiny. Gospodarzu, czy jest w Rędzinach dziedziczka w domu?

— W Rędzinach? Dziedziczka? Aha, to niby jaśnie hrabina. A kajby ta<sup>134</sup> była! Ho! ho! to sielna<sup>135</sup> pani! Zagranicznych małpów se nasprowadzała kiej<sup>136</sup> diabłów czarnych... Wio! wio! gniady! a to ci panowie na obrok<sup>137</sup> przyłożą, jak się bandziesz pilił... Wio...

W Rędzinach, skoro zajechali przed pałac, wyszło naprzeciw nich dwóch uliberiowanych<sup>138</sup> lokajów, zaprowadzili ich do olbrzymiego salonu i zniknęli.

Salon był piętrowy, z kolumnadą marmurową, podtrzymującą galerię dla muzyki, umeblowany z przepychem, ze wspaniałymi obrazami na ścianach stiukowych<sup>139</sup>; wielkie weneckie okna wychodziły na park.

Czekali minut kilkanaście; nikt się nie zjawił. Panowała głucha cisza dokoła, jakby nikogo nie było w całym pałacu. Pootwierane drzwi pokazywały długą amfiladę pokojów, również wspaniale urządzonych. Leon przeszedł cały szereg pokojów, obejrzał tysiące kosztownych cacek, porozstawianych po kominkach i stoliczkach, jedwabne obicia ścian, meble, starożytne biurka i zegary, kosze pełne kwiatów świeżych, ale nie spotkał nikogo; wrócił do Korczewskiego, który onieśmielony przepychem mieszkania siedział pokornie na brzeżku krzesła i niespokojnie spoglądał na ślady, jakie jego buty pozostawiały na posadzce.

— Nikt nie był?

— A nikt. Może pan zadzwoni, o, tam jest guzik elektryczny, bo ja nie śmiałem.

Leon zadzwonił. Natychmiast zjawił się lokaj i zapewnił, że jaśnie pani hrabina raczy przyjść za chwilę.

Przeszło znowu minut kilkanaście i nikt się nie zjawił. Leon znowu zadzwonił.

Przyszedł ten sam lokaj i zapytał się w imieniu jaśnie pani, kto są panowie i czego sobie życzą?

Korczewski złożył afisz, wsunął w niego książkę z biletami i dał lokajowi, polecając oddać pani hrabinie.

Czekali również kilkanaście minut, aż wrócił, ale nie sam; przyszedł z drugim, starym, wyglądającym na kamerdynera. Pierwszy ze srebrną tacą w ręku stanął przy drzwiach i czekał, aż stary obszedł wszystkie otwarte pokoje, obejrzał drobiazgi, popatrzył po ścia-

Honor

<sup>132</sup>stangret — służący powożący końmi w bryczce, karecie. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>obrębek — małe, wąskie obszycie brzegów materiału. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>kajby ta (gw.) — gdzieżby tam. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>sielny (gw.) — silny, potężny, wielki. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>kiej (gw.) — jak. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>obrok — pasza dla koni. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>uliberiowany — odziany w liberię; liberia: oficjalny uniform noszony przez służbę na dworach wielkich panów. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>stiuk — materiał zdobniczy z masy gipsowo-wapiennej zmieszanej z drobnym piaskiem lub ze sproszkowanym marmurem, używany do tworzenia dekoracji architektonicznych (sztukaterii). [przypis edytorski]

nach na obrazy i wyszedł; wtedy postąpił kilka kroków i podając na tacy biletową książkę, rzekł poważnie:

— Jaśnie pani hrabina przysłała.

Korczewski obejrzał książkę, nie brakło ani jednego biletu, nic nie wzięto; afisz również odesłano, ale gdy go wziął w rękę, wysunął się z niego rublowy papierek i upadł na ziemię. Korczewski schylił się, aby podnieść, ale Zakrzewski odsunął go gwałtownie i rozkazującym głosem zawołał na lokaja:

— Podnieś to!

Lokaj podniósł i położył na tacy.

— Prowadź do pani pokoju! — powiedział znowu rozkazująco.

Lokaj jak automat obrócił się i poszedł naprzód. Przeszli kilkanaście pokoi; przed szerokimi oszklonymi drzwiami lokaj się zawahał.

— Otwórz i prowadź! — zawołał zduszonym przez gniew głosem i wszedł do wielkiej oranżerii, pełnej zieloności, duszącego ciepła, zapachu kwitnących mimoz i fiołków.

U sufitu na złotych obręczach kilka papug, podobnych do kłębów drogich kamieni, kołysało się sennie; w środku oranżerii był marmurowy basen, z którego wytryskiwał pióropusz wody i ze słodkim szmerem opadał; poza nim, pod grupą wachlarzowatych palm, kołysało się kilka kobiet na biegunowych fotelach i śmiało się głośno z potwornie brzydkiej małpy, baraszkujej z charcikiem angielskim.

— Oddaj tego rubla pani i powiedz, że postąpiła jak pokojówka przebrana na hrabinę — zawołał tak podniesionym głosem, że wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Odwrócił się i wyszedł.

Korczewski już czekał na niego w saniach; nie śmiał się na razie odezwać, ale gdy się znaleźli dosyć daleko od dworu, szepnął:

— To świństwo wysłać nam rubla jak dziadom, ale zawsze rubel to pieniądz — westchnął.

— Tak, racja, rubel to pieniądz, a świnia boże stworzenie.

Zamilkli. Zmierzch już płynął od lasów i krwawymi pyłami rozsypywał się od zórz purpurowych zachodu. Słońce ogromną, rozpaloną kulą zapadało za lasy, a po śniegach, po drzewach, w powietrzu rozlała się przeogromna cisza nocy nadchodzącej. Na wschodzie pokazywały się gwiazdy i zawiewał stamtąd czasami wiatr bardzo cichy i mroźny, aż konie parskały, wyrzucając nozdrzami słupy pary. W dalekich, jakby zasypanych śniegiem, wsiach skrzypiały studzienne żurawie i rozlegały się ryki krów.

— Dwanaście lat temu najmniej, jak byłem w tej okolicy. Pamiętam dobrze, że w którymś dworze, gdy przyjechałem tak samo z benefisem, było jakieś zebranie; sprzedałem wszystkie bilety, miałem pieniędzy pełny kapelusz, literalnie pełny kapelusz mi nakładli. Nikt nie liczył, ile dawał. Mój Boże, gdzie to te czasy! — mówił cicho Korczewski i jakiś smutek głęboki, jakby tego umierającego dnia, zaświecił mu w oczach. — Tak, pamiętam dobrze, grałem wieczorem Franciszka Moora w *Zbójcach*<sup>140</sup>. Co to były za brawa, co za krzyki, co za publiczność! Dobrze grałem, a szczególnie akt piąty... kobiety mdlały; gdy przysła scena z Danielem, wiesz pan, opowiadanie snu, wszyscy się trzęśli z trwogi. Dobrze grałem.

„I przychodzili, i kładli moje grzechy na szalę, ale szala kołysała się wysoko... aż przyszedł stary... siwy... ja go poznałem, Danielu! i rzucił garść siwych włosów i szala moja opadła na dół... To był mój ojciec, Danielu! Zrobiła się straszna cisza, w której rozległ się głos tak potężny, że aż mi szpik w kościach zlodowaciał... Wszyscy zbawieni, tylko ty jeden przekłety!”<sup>141</sup>. Przekłety! — powtórzył cichym, strasznym głosem rozpaczliwie bezbrzeżnej.

Ramiona mu opadły bezwładnie i szklanymi oczami obejrzał się dokoła, grał całą duszą.

— Nie pokazuj pan, bo furman może myśleć, żeś pan zwariował! — zwrócił mu uwagę Zakrzewski ironicznym tonem.

Korczewski popatrzył na niego i szepnął:

— To może co z operetki?

<sup>140</sup>*Zbójcy* — dramat Friedricha Schillera (1759–1805), napisany w 1781 r. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*I przychodzili, i kładli moje grzechy na szalę...* — zniekształcony cytat z I sceny V aktu *Zbójców*. [przypis edytorski]

I zaczął wyśpiewywać rozmaite drygi<sup>142</sup> operetkowe.

Na ostatku, już pod samym miastem, wstąpili jeszcze do jakiegoś małego folwarku i zostali, bo przyjęto ich nadzwyczaj gościnnie. Kilkanaście osób tam zgromadzonych, przeważnie młodzież, bawiło się doskonale w różne gry. Tak się rozochocili, że Zakrzewski grał na fortepianie i śpiewał, a Korczewski, podpisawszy sobie rzetelnie, deklamował całe akty dramatów i udawał rozmaite komiczne typy, i wciąż się całował ze wszystkimi, i ciągle wspominał swojego dziadka kasztelana.

Dobrze już po północy szlachcic odesłał ich swoimi końmi, ale tak pijanych, że nie wiedzieli o bożym świecie.

Na drugi dzień Zakrzewski stanowczo nie chciał jechać w drugą stronę okolicy; miał dosyć dnia wczorajszego. Pojechał Korczewski z Jańciem, któremu miłosierdzie miasta sprawiło na gwiazdkę palto zimowe, a bielizny i butów pożyczył Leon, bo miał występować w jego roli, w roli benefisanta.

## VII

Zakrzewski, dowiedziawszy się od Korczewskiej, że Lili przyjechała, poszedł do niej z bijącym sercem.

Już nie pamiętał podejrzeń ani plotek, tylko witał ją z uniesieniem, ale gdy pierwsze wrażenie przeszło, zaczął się jej przyglądać podejrzliwie. Lili była jakaś zmizerowana, blada i niewyspana; oczy miała wpadnięte i zaczerwienione jakby od płaczu, mówiła cicho, nie podnosząc prawie oczu. Przesuwała się przez pokój bojaźliwie i ciągle ginęła za parawanem, skąd powracała z drgającymi, obrzmiałymi ustami i jakby z tłumionym ustawicznie łkaniem.

Matka natomiast była wyjątkowo rozmowna, opowiadała z uniesieniem o przyjęciu, jakie ich spotkało, opisywała szczegółowo poznanych ludzi, stroje, kolacje.

Leon słuchał, potakiwał głową, a przyglądał się Lili, która siadła na kanapce, opuściła bezwiednie ręce i siedziała cicho.

— Lili! — szepnął, przysuwając się do niej, gdy matka zamilkła.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem, ale takim smutnym, że mu serce zadrgało z trwogi.

— Kochasz, co? Tak czekałem, tak czekałem... Kochasz?...

— Kocham! — odpowiedziała cichutko, ledwie dosłyszalnie i pochyliła twarz na pierś, żeby ukryć łzy, a równocześnie zaczęła gładzić paluszkami jego dłoń.

— Zrób, Lili, herbaty, to i pan Leon się napije, bo zimno, a ja wam przeczytam rozdział powieści. Powiadam wam, że się popłaczecie.

Lili zakrzętnęła się koło samowara, Leon pomagał jej jak zwykle, ale nie było pomiędzy nimi tej zwykłej dziecięcej swobody zakochanych i przekomarzania.

Patrzyli na siebie przez cień, który im omraczał duszę coraz bardziej.

Mówili sobie: kocham, ale zbyt cicho i szeptem, podobnym do łkania; spoglądali z miłością, ale w tym spojrzeniu nie było pocałunków jak dawniej; w jego oczach tliło się podejrzenie, a w jej jakiś straszny krzyk, tłumiony całą siłą woli. Dotykali się, ale bez dawnych dreszczów, które ich rzucały sobie w ramiona; Lili odsuwała się śpiesznie, a na nim nie robiło to wrażenia.

Potem siedzieli przy herbacie, trzymali się za ręce i słuchali czytania matki, rzucając od czasu do czasu niespodziewane, głębokie spojrzenie i spotkawszy się oczami, rozbiegali się śpiesznie, dziwnie zmieszani trwogą, którą uczuwali. Matka czytała głucho i nudnie.

Od podwórza, od śniegów zbrudzonych i połamanych, od dachów budynków padał brudny cień i zalewał nudą cały pokój; a w tym świetle szarym wszystkie sprzęty wydawały się tak stare, zniszczone, nędzne, a wszystkie patarałki, serwetki, ozdoby tak ubogie, pospolite i brzydkie, że Zakrzewski patrzył ze zdumieniem dokoła, a potem z pogardą źle tłumioną.

— Może pójdziemy na ślizgawkę do parku? — powiedział, gdy matka czytać przestała.

— A pójdę, dobrze. Chciałam nawet prosić pana o to.

Ubierała się szybko.

— A nie siedźcie długo — rzuciła za nimi matka.

<sup>142</sup>dryg (gw.) — takt, rytm; tu: fragm. melodii. [przypis edytorski]

A oni na świecie odetchnęli nieco, zrobiło się im znacznie lżej, ale pomimo to mówili z sobą bardzo mało. Namyślali się nad każdym słowem, zdania z trudem wypowiadali; nieśmiałość dziwna, pełna obawy, trzymała ich od siebie z daleka.

W parku było pusto, nudno i zimno, bo wiatr huczał głuchy i śnieg posypywał.

Na stawie nie było prawie nikogo, tylko kilku chłopaków biło się śnieżkami i gonilo po lodzie.

Przypasał jej lżywy i zaczęli robić ósemki, ująwszy się za ręce; ślizgali się dosyć długo, a on w końcu zapytał cicho:

— Dobrze, Lili?

— Dobrze! Bardzo dobrze!

Uśmiechnęła się z przymusem, sztucznie.

— Pamiętasz, jak nam tutaj było dobrze w przeszłym tygodniu?

Skinęła głową, a on zaczął z zapalem przypominać najdrobniejsze szczegóły, unosił się, że tak cudnie wyglądała wtedy, rozplomieniał się na wspomnienie tak niedawnej przeszłości, bezwiednie uciekając od chwili obecnej.

— Tak! pamiętam, pamiętam! — odpowiadała.

Twarz lekko się jej zarumieniła ze wzruszenia, całą duszą utonęła w przypomnieniu, piła tę przeszłą rozkosz zaciętymi od bólu ustami, ale w końcu szepnęła, wstrząsając się:

— Wracajmy, tu zimno jakoś dzisiaj i nieładnie!

Odprowadził ją, przesiedział u nich cały wieczór, ale wieczór był dzisiaj jakiś strasznie długi; oboje ukradkiem spoglądali na zegar, milkli co chwila, nie wiedzieli, co mówić do siebie. To znowu, jakby odczuwając wspólny dręczący stan, starali się być dla siebie tym, czym dawniej, i wtedy zaczynały się szczebioty Lili, urywane, dyszące miłością słowa Leona, oczy im się rozpały, wracały uśmiechy na twarze, usta zaczynały drżeć do ust, ramiona wyciągały się do objęć i słowo „kocham” drżało im na ustach i w sercach jak płomyk czarodziejski, ale go wymówić nie mogli, bo razem z tym dźwiękiem powracał dawny stan dręczącego niepokoju i obaw niewytłumaczonych. Zakrzewski, nie mogąc już wytrzymać, zapytał:

— Co ci jest?

— Nic, zupełnie nic, trochę mnie tylko głowa boli — odpowiedziała pośpiesznie.

— Znużyłaś się zabawą, potem się nie wyspałaś i przez to cię głowa boli.

— Tam się nie bawiłam zupełnie.

— Więc po cóż było siedzieć całe dwa dni? — powiedział z wyrzutem.

Nie odpowiedziała; tylko rumieniec jak cień przemknął po jej czole. Zaczęła poprawiać abażur na lampie, a on wstał, ubrał się i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Dobranoc.

— Dobranoc panu! — szepnęła, podnosząc się automatycznie i zaledwie dotykając końcami palców jego dłoni.

Głos jej miał jakiś ton lodowaty, co go tak szarpnęło, że nie pocałowawszy jej w rękę jak zwykle, wyszedł, dość energicznie zamykając drzwi. Już był przy drzwiach od ulicy, gdy usłyszał za sobą w ciemnej sieni przytłumiony głos:

— Panie Leonie!

Podniósł się śpiesznie, bo radość zalała mu serce; chciał ją ująć w ramiona, ale cofnęła się w smugę światła, padającego z drzwi otwartych mieszkania.

— Zapomniałam się spytać, czy dużo sprzedał pan biletów?

— Za czterdzieści rubli! Lili! i ty po dwóch dniach niewidzenia tak zimno mnie żegnasz, czy nie czujesz, nie widzisz, co się ze mną dzieje? Lili, czy ty mnie już nie kochasz?... — szeptał pełnym bólu i żalu głosem.

Podniosła na niego cudne oczy, pełne łez i bezbrzeżnej miłości.

— Kocham na śmierć... na życie... na wieczność całą... — wyszeptala i zawisła mu na ustach w długim, szalonym pocałunku, ale oderwała się od niego i uciekła do mieszkania, zamykając drzwi na klucz.

Otarł łzy, jakie mu pozostawiła na twarzy, i wrócił do domu jeszcze bardziej niespokojny niż przedtem.

I dom go nie uspokoił, bo zastał list od matki z opłatkiem i błogosławieństwami, pisanymi z płaczem, bo wiele liter było zalanych łzami. Nie wyrzucała mu nic ani już nie pytała o powrót, ale w każdym słowie czuć było szaloną tęsknotę i większą jeszcze

troskę o jego dolę. Wstrząsnął nim ten list do głębi i pogrążył w stan tak ostrego żalu, że długo chodził po pokoju, rozmyślając o domu i o powrocie, nim sobie przypomniał, że nie czytał drugiego listu. Obejrzał go ze wszystkich stron, bo nie znał charakteru pisma. List był bezimienny i zawierał najwstrętniejsze plotki i oskarżenia Lili. Pisano w nim, że była kochanką hrabiego i jeszcze kilku ludzi z okolicy, których wymieniano z nazwiska. Szargano wprost w sposób wstrętny jej matkę, a o ojcu, który umarł przed dziesięciu laty, powiedziano, że umarł w więzieniu za kradzież itp.

Uśmiechnął się tylko z politowaniem, czytając długą litanię oskarżeń, bo im absolutnie nie wierzył, chociaż dawne podejrzenia nie wygasły mu w mózgu, więc list schował do kieszeni i rozmyślał, kto go mógł napisać, to go nawet uspokoiło znacznie, że zaczął uczuć żal do siebie, iż był względem Lili za bardzo niesprawiedliwym. Postanowił jutro naprawić wszystko i jutro również miał się rozmówić stanowczo o dniu wyjazdu, bo chciał wyjechać natychmiast po benefisie; z tym poszedł spać.

Nazajutrz obudził się dosyć późno, ale w zupełnie dobrym usposobieniu. Czuł się zupełnie spokojnym i zrównoważonym, wszystkie dawne obawy i podejrzenia pierzchnęły. Przeczytał raz jeszcze ten list anonimowy, który wydał mu się jedynie bardzo głupim.

— Trzeba zacząć wyjeżdżać — pomyślał i wstąpił do telegrafu, gdzie podał depeszę do matki, że przyjeżdża w piątek wieczorem, a najdalej w sobotę rano.

To go wprawiło w dobry humor, bo wyobrażał sobie radość matki, i idąc przez miasto do Lili, patrzył na ulice i domy okiem pożegnania.

Lili nie było, a matka sprzątała mieszkanie.

— Poszła do kościoła, ale zaraz przyjdzie.

— Do kościoła! Nie wiedziałem, że chodzi do kościoła, nigdy z nią tam nie byłem.

— Mój panie, a za cóż to nas pan ma? Jesteśmy przecież dobre katoliczki!

— Pójdę po nią.

— Zaczekaj pan, zaraz przyjdzie, ona lubi sama bywać w kościele.

Ale Leon nie słuchał, tylko poszedł, bo matka tak gorąco prosiła, aby Lili nie przeskadzał się modlić, że ona zaraz powróci, iż w nim zadrgało jakieś podejrzenie.

— Ciekaw jestem, czy ją zastanę w kościele! — myślał z trwogą.

Odszukał ją w jednej z bocznych, prawie ciemnych kaplic; klęczała przed ołtarzem i modliła się z takim przejęciem, że cofnął się w cień nawy i patrzył na jej twarzyczkę cudną, napiętnowaną głębokim bólem. Łkania wyrwały się z jej piersi i lzy jak perły błyszczące zwisały czasem u czarnych rzęs i spadały na kamienną posadzkę.

W kościele było prawie pusto i ciemno, bo z gotyckich, wąskich okienek, poprzez kolorowe, zakurzone szyby, sączyło się niewiele światła i rozświecało tylko górną część naw. Cały dół kościoła tonął w mroku, w którym od czasu do czasu rozbrzmiewało jakieś głębokie westchnienie lub szept modlitwy rozplywał się od wielkich stall<sup>143</sup> w prezbiterium<sup>144</sup>, a czasem nikły, srebrny głos dzwonka zadrgał w ciszy od bocznego ołtarza, przy którym odprawiano mszę świętą, albo dziecinny głos ministranta krzykliwie zaświegotał w odpowiedzi księdza i milkło wszystko, i pogrążyło się w ciszę i zmrok, w którym świeciły bladawozłote szaty świętych i wiły się czarne, wysmukłe pnie kolumn gotyckich.

Lili modliła się długo, nie przeczuwając nawet, że z cieniów patrzą na nią oczy kochane, że o kilka kroków stoi on, kochany nad wszystko, on, za którego całym żarem serca modliła się.

A jego tak głęboko rozrzewniła modlitwa i lzy jej, i ten wyraz męki wryty w twarzy, że wyszedł, bo dusiło go coś w krtani.

Wkrótce wyszła, a spostrzegłszy, że czeka na nią, pobladła i podała mu rękę ze drżeniem. Przez drogę zobaczył, że jest bardzo mizerna, że jej liliowa, ołśniewająco biała twarz ma jakiś szarżółty, chorobliwy ton, a cały wyraz takiego ogromnego znękania i smutku, że serce mu się ścisnęło żalem i współczuciem.

— Ty chora jesteś, Lili? Co ci jest, najdroższa? Powiedz...

— Nic mi nie jest. Wydaje się tak panu, bom mało spała w nocy.

— Nie mów mi: panie, całym sercem proszę cię o to, dobrze?

— Nie można, nie — odpowiedziała tak cicho, że ledwie usłyszał.

<sup>143</sup>stalle — ozdobne ławy kościelne z wysokimi oparciami, ustawiane wzdłuż ścian blisko głównego ołtarza, przeznaczone dla dostojników, zwł. duchownych, a dla zakonników. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>prezbiterium — część kościoła, w której znajduje się główny ołtarz. [przypis edytorski]



Nie miał już czasu pytać się, dlaczego nie można, bo przyszli do domu. Lili długo mówiła z matką po cichu i coś takiego, że matka ją pocałowała w czoło, przycisnęła jej głowę do piersi i wyszła zaraz, objaśniając, że nie wie, kiedy wróci, a wychodząc, rzuciła na Zakrzewskiego spojrzenie pełne żalu i jakby wyrzutu.

— Odebrałem znowu dzisiaj list od mamy, może przeczytasz?

— Powinien pan jechać, matka musi bardzo, bardzo tęsknić za panem — powiedziała, oddając mu list po przeczytaniu.

— W piątek wyjedziemy, już wszystko obmyśliłem. Usiądź, dziecko, przy mnie.

Usiadła i patrzyła w niego ze smutkiem.

— Rzeczy spakuje się zaraz po przedstawieniu i wyślę naprzód, żeby zdążyły na kolej, a my pojedziemy pocztą<sup>145</sup>. W Warszawie staniemy rano, a stamtąd zaraz dalej, tak że u ciotki będziemy przed wieczorem. Bo ja tak obmyśliłem, pisałem nawet już do ciotki o tym, zgodziła się z radością, oto zawiozę was do niej i tam zostawię; będzie tam mojej dziewczynie złotej dobrze, bo ciotka mnie kocha i jest bardzo dobrą kobietą. A ja pojedę do domu, to tylko trzy mile, a nawet polami bliżej. Matce zaraz powiem o wszystkim i przywiozę ją najdalej w niedzielę, żeby się z moją słodką panią poznała. Co? dobry plan, prawda? Uśmiechnij się, jedyna!

Pochylił się, aby ją w skroń pocałować, usunęła się i z uśmiechem łzawym, tragicznym zapytała cicho, bezdźwięcznie, przymykając powieki, aby zatrzymać gwałtem cisnące się łzy:

— A co później?

— A to już z mamą razem się umówimy. Jużci<sup>146</sup>, że do ślubu zostaniesz u siebie, żeby ludzie plotek nie robili. Ale ja będę przyjeżdżał codziennie, bo przecież nie mógłbym wytrzymać jednego dnia bez zobaczenia mojej cudnej, mojej kochanej, mojej jedynej...

I całował ją po twarzy, po włosach, wypijał łzy z oczów, gładził jej rozwichrzone włosy; nie broniła się, poddawała się z biernością i cisnęła się do niego jak dziecko pokrzywdzone.

— A co później? — zapytała znowu cichszym jeszcze głosem, odsuwając się nieco.

— Później! Będziesz moją żoną, ojciec da mi w dzierżawę jeden folwark, jak to już obiecał, i będziemy gospodarowali, a przede wszystkim będziemy się kochali — gadał rozplomieniony i porwany bliskością urzeczywistnienia się marzeń, nie zwracał uwagi na dziwny jej stan, przypisywał go chorobie lub znużeniu. — A może w piątek niewygodnie, chcesz, to się jeszcze zatrzymamy z dzień? No, kiedy? powiedz, najdroższa, kiedy?

— Nigdy! — odpowiedziała bezdźwięcznie, ale z wielką stanowczością.

— Co? co? — nie wierzył uszom.

— Nie pojedę z panem w piątek... nie pojedę nigdy... nigdy... — powtórzyła mocniej i powstała, ręce jej opadły bezwładnie, trupio, twarz posiniała nagle i ścięła się jakby zmrożona determinacją i boleścią, a oczy patrzyły ostro, bardzo ostro, jak u ludzi, którzy śmierć spostrzegli przed sobą.

— Nie pojedziesz ze mną! Co to znaczy, co ty mówisz? Nic nie rozumiem, jak Boga kocham, nie rozumiem... Musiałem się przesłyszeć... Nie pojedziesz? — zapytał takim tonem, jakby się ona przekomarzała, i uśmiechnął się pobłażliwie i wyczekująco, że na zaprzeczenie rzuci mu się w ramiona. — Lili, nie można tak żartować, dziecko, nie można! — chciał ją wziąć za rękę, odsunęła się i takim samym, automatycznie akcentowanym głosem powiedziała:

— Nie pojedę z panem, nie mogę być pańską żoną... nie mogę...

Zrozumiał teraz od razu, że to prawda, że to nie przesłyszenie ani żarty. Upadł ciężko na kanapę i długo siedział bez myśli i bez ruchu, wpatrzony w jej twarz martwą, cały huragan bólu przeorywał mu serce; wszystkie przyczajone pod świadomością żale, wszystkie podejrzenia i miłość wszystka, i zdruzgotane marzenia, i ta nieopowiedziana żrąca rozpacz głodnej, zawiedzionej miłości, i gniew, i strach, i nienawiść — wszystko to skłębiło się w nim w wir i rozrywało mu duszę szalonym, potwornym bólem.

Lili stała wciąż bez ruchu jakby skamieniała, a lzy już nie powstrzymywane sypały się jak grad kryształów na spazmatycznie podnoszące się piersi.

— Dlaczego? — zapytał wreszcie Leon powstając.

<sup>145</sup>jechać pocztą — jechać pojazdem konnym przewożącym pocztę oraz pasażerów. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>jużci (daw. gw.) — oczywiście, pewnie. [przypis edytorski]

— Nie mogę... Mój Boże, mój Boże! — szeptała poczerwiałymi od gorączki ustami.

— Nie kochasz mnie i nie kochałaś nigdy — zawołał namiętnie.

Nie odpowiedziała.

— Więc to wszystko było kłamstwo, komedia, flirt!

Nie odpowiedziała, tylko ręce jej bezwiednie zaczynały szukać oparcia.

— To była farsa — ta wielka miłość; farsa — twoja szczerłość, farsa — twoja dobroć, farsa — twoje przyrzeczenie. Potrzebowałaś mnie za parawan! Więc to wszystko, wszystko prawda! — krzyczał.

Nie odpowiedziała.

Z największą wzdargą, pełną rozpacz, spojrział na nią i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami; postąpiła za nim kilka kroków automatycznie, chciała krzyknąć, chciała biec za nim, zatrzymać — nie mogła, brakło jej sił, głosu, woli i przytomności...

Wcisnęła się w róg kanapki i tak przesiedziała do wieczora, głucha na wszystko, co się wokół niej działo, znieczulona nadmiarem cierpienia. A potem, gdy pierwsze wrażenie przeszło, zaczęła płakać; wypłakiwała całą boleść swoją, całą boleść poświęcenia, jakie spełniła do dna.

Kochała go, jak tylko można kochać, kochała go mózgiem, krwią młodą, marzeniami, dumą kobiety, miłością dziecka, przywiązaniem niewolnicy, fantazją aktorki, sercem biednej, bezdomnej dziewczyny, dla której on był bóstwem: tak kochała i wyrzekła się go na zawsze. Myślała, że to poświęcenie nie będzie tak straszne; ale teraz, w samotności, gdy pomyślała, że on już nigdy nie przyjdzie, że już nigdy go nie zobaczy, że już nigdy nie będzie go słyszeć, nigdy czuć przy sobie, nigdy... nigdy! nigdy! Szalała z rozpacz, wiała się z męki i przyduszonym przez nieopowiedziany strach głosem wołała:

— Lwie mój, o mój dobry! mój jedyny, mój szlachetny, o życie moje! Zabij mnie, a nie pozostawiaj samą<sup>147</sup>! Zabij, a weź mnie ze sobą!...

Ale nikt się nie zjawiał, a jej żal i rozpacz rozrastały się jeszcze, więc żeby zapanować nad sobą, żeby się zagłuszyć, powtarzała ciągle:

— Musiałam, musiałam... musiałam...

I po tysiąc razy przypominała sobie, że przecież ona nie mogłaby, nie powinna zostać jego żoną, jej nie wolno zostać jego żoną. Byłaby z największym szczęściem została jego kochanką, gdyby zechciał tego tutaj, w teatrze, ale jego żoną tam, na wsi, nigdy w życiu...

Wkrótce przyszła matka i zaczęła ją uspokajać i pocieszać, i przytulać do siebie; ale odepchnęła ją szorstko i wołała z żalem:

— To mama chciała, to przez mamę jestem tak nieszczęśliwa, przez mamę...

— Jakaś ty niesprawiedliwa, dziecko, jak ty mnie ranisz głęboko... Więc ja, twoja matka, umyślnie chcę cię unieszczęśliwić, co? — Łzy zadrgały w jej głosie.

Nie odezwała się, ukryła twarz w dłonie i płakała spazmatycznie, a matka stanęła przy oknie i zapatrzona w zamglony śnieżną kurzawą świat, mówiła urywanym, pełnym boleści głosem:

— Mówiłam ci wczoraj i tłumaczyłam, dlaczego nie możesz i nie powinnaś wyjść za mąż za Zakrzewskiego, to samo powiem ci i teraz. Nie chcę cię widzieć nieszczęśliwą, dosyć już sama wycierpiałam, wystarczyć to powinno za ciebie.

— Leon mnie kocha i właśnie bez niego jestem nieszczęśliwa.

— Tak, wiem o tym; ale to się skończy prędko, a tamto trwałoby całe życie.

— O, nie skończy się, nie skończy... nie skończy — wołała przez łzy.

— On cię kocha, bo ma dwadzieścia lat; ale jak rodzina jego nie zgodzi się na to małżeństwo, jak się go wyrzekną i pozostawią bez grosza, to za rok będzie żałował, a za dwa będzie przeklinał własną głupotę i ciebie znienawidzi. Znam takie małżeństwa, za dobrze znam.

Zamilkła, ocierając łzy, wywołane jakimś gorzkim przypomnieniem.

— Dziecko moje, Lili, nie gniewaj się na mnie — szeptała, obejmując ją mocnym, macierzyńskim ramieniem — wykarmiłam cię łzami i krwią, oddałabym życie za ciebie, więc nie mogę nawet myśleć, że mogłabyś być nieszczęśliwa. Wierz przecież matce, widzisz... ja tyle wycierpiałam... tyle nędzy przesłama... tyle goryczy wypilałam... że całą

<sup>147</sup>nie pozostawiaj samą — dziś popr. z D.: nie pozostawiaj samej. [przypis edytorski]

duszą, całą mocą będę cię bronić przed tym samym, i choćbym życiem zapłaciła, nie dam cię nieszczęściu, nie dam, córko moja, duszo moja — zaczęła trząść się w płaczu.

— O moja mammo! moja mammo! — wołała Lili, widząc jej łzy i oplótła ją ramionami, całowała po rękach, objęła za szyję i przytuliła rozgorączkowaną, zapłakaną twarz do jej chłodnej twarzy, po której sznur łez cichych ciągnął się nieprzerwanie.

Mrok je otulał coraz gęstszy swoim smutnym, szarym całunem, jaki rozwiewał nad wszystkim, co razem z dniem umarło, a one wciąż płakały, jednocząc łzami dusze swe we wspólnym morzu bólu.

Noc już zaglądała przez szyby drgającymi oczami gwiazd, gdy matka znowu zaczęła mówić. Prosiła, przedstawiała, przekonywała o niemożliwości tego małżeństwa, błagała ją nawet. Mówiła smutne rzeczy i stawiała jeszcze smutniejsze pewniki, bo patrzyła na świat i ludzi odgadującym okiem doświadczenia.

Lili już nie protestowała, tylko od czasu do czasu rzucała się jej na szyję i wybuchała strasznie żalosalną skargą:

— O moja mammo! jaka ja jestem nieszczęśliwa!

### VIII

Zakrzewski zaś wariował z rozpacz i dawał jej wyraz najbardziej młodzieńczy. Znienawidził ludzi i przeklinał życie. Chciał wyjechać natychmiast, ledwie go uprosili, aby pozostał do przedstawienia, bo nie mogłoby się bez niego odbyć.

Pozostał, ale całe te dni spędzał nieprzytomnie, chodził do kolegów i skarżył się, a gdy chciano go uspokajać, wpadał w gniew i najbrutalniej wymyślał wszystkim. Uczuł dziką radość w wypowiedaniu ludziom tego, co o nich myślał. Galkowskiej rzucił prosto w oczy, że jest starą, nędzną krowientą i brudną intrygantką. U Korniszona, zobaczywszy go malującym<sup>148</sup> na pozszywanych prześcieradłach wykwinął salon, śmiał się długo, a potem kpił krwawo z jego mazaniny, z jego pijaństwa, z jego nędzy i wstrętnego komedianctwa. Korczewską nazwał najgłupszą z kłep<sup>149</sup> teatralnych, radził jej zająć się przyjmowaniem prania, a nie udawaniem aktorki. Kosa obrzucił takim gradem przezwisk pogardliwych, że tamten uciekł ze strachu.

Spotkał na ulicy doktorówny, zmierzył je posępnym wzrokiem i nie uklonił się, przechodząc ostentacyjnie na drugą stronę ulicy.

Mścił się na innych i na sobie za zawód, jaki go spotkał. Musiał zresztą w jakiej bądź formie wyrzucić z siebie ten nadmiar męki, jaka go łamała.

Poszedł do Olkowskiego do szpitala i siedział przy nim parę godzin, bo ta dziwnie tragiczna cisza szpitala, przepojona zapachami karbolu<sup>150</sup> i jodoformu<sup>151</sup>, ta cisza, pełna jęków, westchnień, a czasem rozdzierających krzyków nędzarzy, uspokajała go, odrywała od siebie i zatapiała w grozie tej nędzy ludzkiej, jakiej pełne były szpitalne sale. Tam czuł, że nie sam przynajmniej cierpi, i stwierdzał to z pewną, zresztą nieświadomą, przyjemnością, patrząc na Olkowskiego.

Olkowski był nieprzytomny i w chwilach częstych paroksyzmów<sup>152</sup> wołał tylko Szalkowskiej, wyznawał jej miłość, skarżył się, błagał, żebrał, modlił się do niej, recytował nieprzytomnie całe ustępy ról miłosnych i wypowiadał je tak znakomicie, tyle wkładał w nie łzawego uczucia i bólu, że zakonnica siedząca przy nim płakała ze wzruszenia i wciąż modliła się za niego.

Nikt go nie odwiedził, bo wszyscy zajęci byli szykowaniem się do przedstawienia i próbami, na które chodził i Zakrzewski, ale się z nikim nie witał i role swoje markował, nie spojrzawszy ani razu na Lili, z którą grał; nie widział nawet, że dziewczyna wyglądała, jakby się gotowała do trumny, że się poruszała bezsilnie, że ją zjadało cierpienie, że była taka znękana, biedna, nieszczęśliwa, iż całe towarzystwo otaczało ją najczulszą opieką i współczuciem.

<sup>148</sup>zobaczyć kogoś malującym coś — dziś popr.: zobaczyć kogoś malującego coś [przypis edytorski]

<sup>149</sup>kłepa — samica łosia; (przen. obelż.): kobieta ociężała, niezadana. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>karbol — wodny roztwór fenolu; żrący, trujący, o silnym, nieprzyjemnym zapachu; środek odkażający, daw. szeroko używany w lecznictwie do dezynfekcji pomieszczeń i przedmiotów. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>jodoform — żółta, krystaliczna substancja chem. o intensywnym, przenikliwym zapachu, jeden z pierwszych środków antyseptycznych. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>paroksyzm — gwałtowne zaostrzenie się objawów choroby. [przypis edytorski]

Mówił sobie, że go już nic nie obchodzi, zupełnie nic, że przecież jutro, zaraz po przedstawieniu, wyjedzie z tego świata zgnilizny i niech przepadają wszyscy marnie, niech i ona przepadnie, ulicznica, komediantka, podła.

Tak wmawiał w siebie, ale pomimo wszystko ta cudna twarz wżarła mu się w pamięć serca, widział ją ciągle przed sobą i chwilami tak strasznie tęsknił, że w nocy po kilka godzin wystawał przed jej mieszkaniem i patrzył w okno; że chodził tymi ulicami, którymi razem przechodzili; że szukał i odnajdywał wszędzie jej ślady; że kilka kartek, pisanych jej niewprawną, dziecinną ręką, oblewał łzami miłości, zjadał pocałunkami.

W dniu przedstawienia sprzedał wszystko, co mógł sprzedać, aby mieć pieniądze na wyjazd, a że próby tego dnia nie było, bo całe towarzystwo zajmowało się przerabianiem hotelowej stajni na salę teatralną, chodził po mieście, bez celu krążąc wciąż w okolicach mieszkania Lili.

W tej wędrownie spotkał Szalkowską.

Przystąpiła do niego, pomimo że ją bez ukłonu wymijał.

— Muszę z panem pomówić, mam ważny interes — powiedziała poważnie.

— A ja nie mam do pani żadnego interesu — odpowiedział niechętnie i chciał iść, ale wsunęła mu rękę pod ramię i nie puściła.

— Niech pan nie robi skandalu na ulicy, bo pełno ludzi — patrzą.

Nie odezwał się i pozwolił się zaprowadzić do jej mieszkania.

W palcie, z kapeluszem na głowie stanął na środku pokoju i rzekł:

— Słucham! Proszę mówić prędko, bo czasu nie mam.

Odpowiedziała mu zamknięciem drzwi na klucz, wesołym śmiechem i rzuceniem mu się na szyję.

Całując go, robiła wymówki, skarżyła się zamatowanym miłością głosem, że wtedy czekała na niego na próżno, że tak bardzo, tak bardzo cierpiała...

Odpowiadał jej pogardliwie z początku, pocałunków nie oddawał, a nawet twarz lekko odsuwał i chciał koniecznie iść.

Nie wypuściła go już i gdy zaczęła szeptać czarowne słowa miłości, grać z maestrią zachwyty i uwielbienie, wybuchać patetycznie, jak bardzo jest nieszczęśliwa przez jego obojętność, zmiękł nieco i odpowiadał łagodnie.

Przyniosła jakiś mocny likier i zmusiła do picia z jednego kieliszka, a potem zniknęła na chwilę i przysła przebrana w wspaniałą szlafroczek *empire*<sup>153</sup>, w którym wyglądała porywająco.

O zmroku dopiero wyszedł, ale był tak wściekły na siebie, że spotkawszy Felusia z Szalkowskim, od którego odwrócił się pomieszany, pominął; Felusia zaprosił na wódkę do jakiegoś szynku<sup>154</sup> i wręcz mu tam powiedział:

— Spoliczkuj mnie pan, powiedz mi, że jestem ostatnie bydło, że jestem głupiec największy z głupców, proszę pana, powiedz mi to, bo chcę się otrzeźwić.

— Tak... dawno i bez zachęty myślałem o panu podobnie; ale zresztą możesz się pan utopić, nie przeszkodzi, tak! — odpowiadał spokojnie, pociągając się za nos.

Zakrzewski istotnie oprzytomniał, wyszedł z szynku, zamówił miejsce w karetki pocztowej<sup>155</sup> i poszedł na przedstawienie.

Z pogardą przypatrywał się wielkiej stajni, przemienionej na salę teatralną. Wielka murowana obora bez sufitu, o nagich, odartych i zapługawionych ścianach, o dachu, przez który prześwitywały gwiazdy, zmieniała się do niepoznania. Szereg mocno ściśniętych świerków wkopano pod ścianą od ulicy, zakrywając ją tym sposobem zielonymi gałęziami, ubarwionymi w wielu miejscach flagami; z drugiej strony, w trzech czwartych szerokości stajni, stała również gęsta, zielona ściana świerków i zakrywała zupełnie rząd koni, stojących za nią, które co chwila parskały i biły kopytami o podłogę. Chińskie lataraki z różnokolorowego papieru, porozwieszane na gałęziach, oświetlały słabo, ale mieniły się jak różnobarwne motyle.

Teatr

<sup>153</sup>*empire* (fr.) — styl cesarstwa; styl w sztuce, meblarstwie, modzie itp., rozwinięty we Francji za panowania cesarza Napoleona I. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*szynk* — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*karetka pocztowa* a. *kareta pocztowa* (daw.) — kryty pojazd konny, który oprócz korespondencji i paczek przewoził pasażerów. [przypis edytorski]

Korniszon ze starym Żydkiem, afiszerm<sup>156</sup>, ustawiał krzesła w rzędy i co chwila biegł odpędzać sprzed bramy masy chłopaków, którzy ustawicznie do niej szturmowali kamieniami i każde jego ukazanie przyjmowali wyciem i gwizdaniem.

Scena była urządzona w końcu tej świerkowej dość długiej alei i wznosiła się nad poziom stajni o całą wysokość antalków<sup>157</sup>, na których Korniszon oparł całe rusztowanie, pokryte od strony publiczności płótnem, pomalowanym na fantastyczny, błękitny marmur, pożyłkowany złotymi rysami. Nad sceną, przybita do belki, wznosiła się dumnie potężna lira drewniana, oklejona złotym papierem. Czerwone, z wypłowiałego adamaszku<sup>158</sup>, wielkie portiery<sup>159</sup>, wypożyczone w bóżnicy<sup>160</sup>, stanowiły kurtynę.

— Muzyka, zagrać no trochę dla rozgrzewki, prędzej będą się zbierać! — wołał Korniszon do kilku Żydków, wchodzących z instrumentami pod garderobę.

Muzykanci zaczęli chuchać w palce, rozcierać zziębnięte ręce, bo mróz był na dworze siarczysty. Korniszon, skończywszy z krzesłami i z nalepianiem numerów, wykadzał stajnię trociczkami<sup>161</sup> i co chwila pytał afiszera, pociągając nosem z przyjemnością:

— Co? przyjemny fetorek jest?

— Prawda, że un przyjemny jest, ale co od tych kuni, to tyż jest fetor, co un nie bardzo pachnie...

Zakrzewski poszedł za kulisy, nie było tam jeszcze nikogo, obejrzał garderobę, urządzoną za sceną i przedzieloną na dwie połowy. Stołów nie było, ale że były żłoby przy-mocowane do ściany, więc przykryto je tarcicami<sup>162</sup> i zamieniono na stoły. Obrął sobie miejsce zaraz przy parawaniku, przylepił świecę do deski, rozłożył szminki i poszedł na scenę; nie chciało mu się ubierać. Wyglądał na salę, nasłuchiwał krzyków przed bramą, to cichego strojenia instrumentów i myślał, że to ostatni raz w życiu jest w budzie podobnej; przyglądał się tym kulisom z ręczników pozszywanych, tylnej kurtynie, przedstawiającej bogaty salon, zbieranie mebli, poustawianej na dygocącej podłodze, frankom przypiętym szpilkami do ślepego okna, obrazom na ścianie, utworzonym z wyciętych ilustracji, które przylepiono do płótna i obwiedziono pasem złotego papieru w miejscach ram. Wszystko było takie nędzne, brzydko łatanie, jarmarczne, ale pomimo to — patrzył ze smutkiem i z jakimś żalem niewytłumaczonym, jak się patrzy na rzeczy po raz ostatni, gdy się długo żyło pomiędzy nimi.

Usiadł na swoim miejscu i siedział dziwnie zgryziony i ociężały.

Garderoba zaczęła się napełniać, aktorki za parawanem zaczęły się już rozbierać i robić sobie twarze; rząd świec, przylepionych do deski, powiększał się ustawicznie; widział to doskonale przez cienką zieloną ściankę parawanu i słyszał ich przyciszone rozmowy i szmery napływającej publiczności.

Korniszon pozapałał lampki za kulisami i uwijał się po scenie, wciąż jeszcze przyszywał, przyklejał i przybijał, nie był zupełnie pijany, chociaż co parę minut szedł do hotelowego bufetu na „sznytkę”.

Kos z Jańciem charakteryzowali się zawzięcie; Kos pogwizdywał i dawał prztyczki w kark Jańciowi, i obiecywał mu sprawić „gips”<sup>163</sup>, jeśli się sypnie, co zresztą było jego zwyczajem stałym.

Lili jeszcze nie było z matką.

Leon poszedł na scenę i wyjrzał przez portiery na salę: zapełniała się powoli, masa znajomych twarzy migotała w półmroku; Korczewski uwijał się między krzesłami, wskazywał miejsca, muzykanci różnili takiego siarczystego mazura, aż konie kwiczały i gryzły się, a galeria przed bramą gwizdała.

<sup>156</sup>afiszerm — osoba rozlepiająca afisze. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>antalek — beczulka, baryłeczka. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>adamaszek — ozdoba tkanina, najczęściej jedwabna, z jednej strony mająca błyszczący wzór na matowym tle, z drugiej zaś matowy na błyszczącym; zwana tak od Damaszku, gdzie ją początkowo wyrabiano. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>portiera — zasłona u drzwi lub okna z grubego, ciężkiego materiału. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>bóżnica a. bożnica a. synagoga — żydowski dom modlitw, odprawiania nabożeństw, studiowania *Tory* i *Talmudu*; często również siedziba gminy żydowskiej. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>trociczka — pręcik lub stożek wykonany z wonnej masy, używany jako kadzidło. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>tarcice — nieheblowane deski powstałe w tartaku przez podłużne rozpiłowanie (przetarcie) okrągłego drewna. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>sprawić „gips” (daw. pot.) — sprawić nieprzyjemną niespodziankę; por. „ładny gips!”. [przypis edytorski]

Odwrócił się od portier i spotkał się oko w oko z Lili, która w tej chwili weszła na scenę.

Zatrzymała się na chwilę i przeszła do garderoby bez słowa.

Słyszał później, siedząc na swoim miejscu, jej głos, słyszał szum sukienek. Wybuchła co chwila śmiechem bardzo wesołym, nuciła półgłosem i żywo coś opowiadała Korczewskiej, a potem klóciła się z Szalkowską o puder.

Pomimo zimna, jakie panowało za kulisami, było mu strasznie gorąco. Ten głos zalewał go żarem, a każdy dźwięk oderwany zapalał mu w sercu nowe, potężne ognisko.

Nie słyszał nawet, jak Feluś tłumaczył publiczności powody, dla których grać nie mogą *Gniazda rodzinnego*, a zastąpią je *Czulą struną*, *Bibińskim*<sup>164</sup>, *Folwarkiem Primeroze*<sup>165</sup> i mazurem w cztery pary. Po zaanonsowaniu rozległy się oklaski; Feluś wrócił do garderoby i gorączkowo ubierał się na Tamerlana w *Czulej strunie*.

Zakrzewski grał w *Bibińskim* męża, a żonę jego Lili; w *Folwarku* grał Dżemsa<sup>166</sup>, a Marię także Lili.

— Zaczynamy, na scenę! — krzyknął Korczewski.

Rozległ się dzwonek ostatni, potem kłaśnięcie w dłoń, portiery się rozsunęły i zaczęto *Czulą strunę*.

Cisza go nagle ogarnęła i samotność, bo prócz Lili wszyscy poszli w kulisy patrzeć. Płomienie świec chwiały się od przewiewu płynącego ze sceny, zalewały go dźwięki piosek śpiewanych, głosy instrumentów, zapach trociczek, pomieszanych z zapachem stajni i perfum, to znowu brawa jak salwa karabinowa ostrymi dźwiękami zabrzmiały; ale on nic z tego nie słyszał, bo całą duszą był za parawanem przy Lili; słyszał jej przyspieszony oddech i szcęk żelazka do karbowania włosów<sup>167</sup>. Spojrzał przez wąską szparę pomiędzy parawanem a ścianą i zobaczył jej głowę: siedziała już gotowa, umalowana, przyczerniona, tylko zafrizowywała swoje burzliwe, niespokojne włosy. Nachylił się lepiej i zobaczył jej twarz, i pomimo szminki ujrzał w niej tyle smutku i znękania, tyle cierpienia, że miłość z dawną siłą zalała mu serce, zapomniał o wszystkim, co ich rozdzieliło, tylko widział, że ona cierpi bardzo i że musi go kochać. Chciał już zawołać na nią jak dawniej: „Lili! kochasz, co?” — I już powstał, i odsuwał parawan, gdy akt się skończył i towarzystwo z gwarem nappełniło garderobę.

Zaczęli zaraz grać *Bibińskiego*.

Leon grał bardzo dobrze, bo go podrażniły brawa, jakie dostał na wejście, i to, że ona z nim grała.

W scenie pogodzenia się z żoną był tak słodki, tak gorąco akcentował miłość, tak doskonale grał, że za kulisami wywołał zdumienie.

— To specjał, to rzepa pieczona taki aktor! — wołał Kos z zachwytem niemal.

— Tak... Każdy samczyk przed swoją samiczką wie, jak się zachwalać, tak...

Skończyli *Bibińskiego* przy wielkich brawach i wywoływaniach, ale Zakrzewski uparł się i za nic w świecie wyjść nie chciał, publiczność również ustąpić nie chciała i wołała go coraz burzliwiej. Wreszcie Lili przyszła do niego z niemą prośbą w oczach, uległ, ujął ją za rękę i wyszedł się kłaniać.

— Ostatni raz, wszystko mi już jedno — myślał i pocałował Lili w rękę przy otwartej scenie.

Ale gdy portiery się zasunęły i brawa zamilkły, nie zważył, że dziewczyna stoi w kulisach i czeka na niego z takim drżeniem, że trzymać się musiała ściany, że łzami w oczach i z jakimś słowem na ustach ciągnęła go oczami; śpiesznie poszedł do garderoby i przebrał się do drugiej sztuki, a potem siedział za tylną kurtyną, w ciemnym i ciasnym przejściu, gdzie mu Szalkowska przeczesywała włosy i zróżowiała twarz, bo błady był jak płótno.

<sup>164</sup>*Bibiński* — jednoaktowa komedia Mariana Gawalewicza (1852–1910). [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*Folwark Primeroze* — jednoaktowy wodewil Eugène Cormona (1810–1903) i Féliksa Dutertre de Vétéuil (1810?–1877). [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*Dżems* i *Maria* (w „Folwarku Primeroze”) — imiona z tłum. pol. z XIX w.; w oryginale sztuki są to: *James*, dzierżawca folwarku, oraz *Mary*, jego wychowanka. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*Żelazko do karbowania włosów* — metalowy przyrząd do układania włosów w loki i fale, wynaleziony pod koniec XIX w.; składał się z połączonych przegubem dwu stalowych ramion, których końce podgrzewano nad palnikiem. [przypis edytorski]

W antrakcie<sup>168</sup> za kulisy wdarło się kilkunastu wielbicieli teatru, a z nimi i za nimi przyplynęły zaraz ciastka, cukierki, koniaki i krążyły wśród gwaru i śmiechów po scenie i garderobie.

Aktorzy robili dowcipy, bo działy<sup>169</sup> zapowiadały się świetnie, a młodzi, prowincjonalni wielbiciele ze wzruszeniem zaglądali do garderób i otoczyli wieńcem Lili, którą obiegł hrabia, dawny cichy wielbiciel, i szczyrzył do niej cały nowy garnitur zębów, szeptał po cichu i całował po rękach, czego mu nawet nie bronila, nie wiedząc, co się z nią dzieje, ale gdy spostrzegła wzrok Zakrzewskiego z nienawiścią utkwiony w hrabiego, wielka radość ją oprzytomniła.

W *Folwarku* Leon grał również dobrze, jak i w pierwszej sztuce, bo miotała nim miłość, nienawiść i zazdrość, to właśnie, co było i w roli Dżemsa, a co oddawał na scenie z taką siłą, że dreszcz przeszedł publiczność, gdy z widłami rzucił się za księciem, który uciekł w kulisę, gdzie stał hrabia z Szalkowską i przez monokl<sup>170</sup> patrzył na scenę. Cofnął się śpiesznie, bo go przestraszyła twarz Zakrzewskiego.

Po przedstawieniu obywatelska młodzież wyprawiła huczną kolację całemu towarzystwu, które bibę przyjęło skwapliwie.

Zakrzewski namyślał się długo, czy iść. Pragnął zobaczyć ostatni raz Lili i postanowił raz jeszcze prosić, aby z nim wyjechała.

Konie już czekały na niego przed hotelem, kazał furmanowi dać kolację, przebrał się do podróży, pozalał ostatnie interesy i dopiero poszedł, nie mówiąc nikomu, że wyjeżdża natychmiast.

Kolacja, jak wszystkie tego rodzaju, miała jeden schemat: pić, krzyczeć i raz jeszcze pić, i raz jeszcze krzyczeć.

Gdy przyszedł, nikt go nie zauważył, bo temperatura w sali była już mocno szlachcka. Kilkadziesiąt osób obsiadło wielki stół i piło, krzyczało, wznosiło ustawicznie zdrowia, sypało dwuznacznikami, umizgało się<sup>171</sup> do aktorek. Gwar zalewał salę nierozpłątany. Śmiechy przewalały się całą falą, przygłuszając co chwila fałszywe tony muzyki, specjalnie sprowadzonej, która grała w sąsiednim pokoju.

Znalazł miejsce naprzeciw Lili, przy której siedział hrabia z ramieniem opartym o jej krzesło; nie poznał jej prawie, była w nadzwyczajnym humorze, piła szampana, którego jej ustawicznie dolewał hrabia; śmiała się całą piersią i tak swobodnie rozmawiała, rzucała takie race dowcipów i uwag złośliwych, że aż hrabia się rozrechotał, wykrzywił z zadowolenia swoje sztuczne szczęki i co chwila wrzucał monokl w oko, i coraz bliżej przyglądał się jej odsłoniętym ramionom. Bawiła się tak hałaśliwie, bo była na pół przytomna; ale gdy zobaczyła Zakrzewskiego, gdy spojrzała w jego głębokie oczy, smutnie patrzące, przycichła nagle, okryła ramiona zarzutką<sup>172</sup> i szukała oczami matki, dając jej znaki do wyjścia. Leon siedział w zupełnym milczeniu, był daleki od tych gwarów i śmiechów, co jak burza huczały dokoła, przyglądał się z pogardą twarzom obecnych, z pogardą, na której dnie tkwił głęboki, nieuleczalny smutek; wrzawa, toasty i mowy okolicznościowe, brzęk rozbijanego szkła obijały się tylko o jego mózg, jak szum daleki i głuchy.

Siadła przy nim Szalkowska i zaczęła opowiadać rozmaite rzeczy i ścisnąć mu rękę; ale jej nie słuchał, a spostrzegłszy na zegarze, że już czas odjeżdżać, podniósł się, spojrzał po wszystkich i siedł wolno do drzwi, a ująwszy za klamkę, odwrócił głowę i spotkał oczy Lili, patrzące z przerażeniem.

Podniosła się i jakby pociągnięta jego oczami, chciała iść ku niemu.

Spostrzegł ten ruch, ale wyszedł.

Na werandzie letniej, przez którą schodziło się do ogródka, a następnie na ulicę, zatrzymał się i w blasku latarni świecącej przy drzwiach, napisał na bilecie:

„Wyjdź na jedno słowo, błagam na wszystko, wyjdź”.

Garsonowi<sup>173</sup> zalecił, aby ten bilecik oddał, o ile można, bez zwrócenia uwagi.

<sup>168</sup> *antrakt* (z fr.) — przerwa w czasie przedstawienia w teatrze czy operze. [przypis edytorski]

<sup>169</sup> *dział* — tu: udział (w zyskach). [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *monokl* — szkło korekcyjne noszone w jednym oku, zazwyczaj przymocowywane łańcuszkiem do kieszeni fraka. [przypis edytorski]

<sup>171</sup> *umizgać się* a. *umizgiwać się* — zalecać się. [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *zarzutka* (daw.) — narzutka, okrycie damskie zarzucane na ramiona. [przypis edytorski]

<sup>173</sup> *garson* (z fr. *garçon*: chłopiec) — kelner, młodzieniec na posyłki. [przypis edytorski]

Pozapinał palto, postawił kołnierz, bo mróz był potężny, i oparty o drewnianą balustradę, czekał. Był na zewnątrz zupełnie spokojny, ręce mu tylko drżały nieco, a serce biło mocno, bardzo mocno.

Od okien hotelu i sieni buchały od czasu do czasu fale pijackiej wrzawy i rozplywały się w powietrzu mroźnym.

Patrzył w roziskrzone gwiazdami niebo, a myśli jego rozpierzchłe leciały jak ptaki porwane burzą, leciały bez celu i pamięci, leciały w otchłań tej cichej nocy, pełnej skrzyń tajemniczych i grozy pustyni śnieżnych.

— Ptaszek mój uciekł mi, nie mam już przyjaciela — zabrzmiał głos Lili w głębi sieni.

Odwrócił się szybko.

Stała w progu, w smudze brudnego naftowego światła i szukała go oczami w cieniu werandy.

— Chciałem cię zobaczyć jeszcze, bo zaraz wyjeżdżam. Przycisnął jej rękę do ust.

— Wyjeżdżasz?... Naprawdę wyjeżdżasz? Zaraz? — w głosie jej zadrgał przestraszony i zdumienie.

— Tak, wyjeżdżam natychmiast. Konie czekają... Jedź ze mną, Lili, jedź ze mną, najdroższa! — wybuchnął gwałtownie, obejmując ją ramionami. — Kocham cię, jedź, bo już bym cię nigdy nie zobaczył... nigdy... jedź ze mną...

Błagał rozpaczliwie, gorączkowo.

Wysunęła mu się z ramion i cicho a mocno powiedziała:

— Nie... nigdy... nie mogę.

— Dlaczego? — rzucił gwałtownie.

— Nie... kocham pana! — wydusiła wolno, wyraźnie akcentowała każde słowo, chwytając się równocześnie balustrady, aby nie upaść.

— I nie kochałaś mnie nigdy, bo miałaś kochanka, bo masz go i teraz! — zawołał chrapliwie.

— Miałam kochanka... mam i teraz kochanka, mam.

Głos się jej złamał, zabrakło jej dźwięków, patrzyła błędnie na łby końskie, wychylające się zza sztachet ogródka.

— I mówisz to tak bezwstydnie, że masz kochanka, i mówisz to mnie, mnie! — krzyknął, rzucając się z pięściami do niej, aż się cofnęła bezwiednie na krawędź schodów. — Ty masz kochanka, ty, którą tak kochałem, którą chciałem nazwać moją żoną, do której przez całe miesiące modliłem się jak do świętej, której nie śmiałem nieraz całować; dla ciebie przecież poświęciłem dom, rodzinę, szczęście całego życia może, dla ciebie. A ty masz kochanka, a tyś mnie oszukiwała przez tyle miesięcy jak pierwsza lepsza ulicznica! Od mojej czystej miłości szłaś prosto w ramiona rozpusty, do kochanków! I dlaczego? Dlaczegoś mnie tak okłamywała? Dlaczegoś złała mi życie? ty rynsztoku... ulicznico! — krzyknął rozszalały boleścią i trzymane w ręku rękawiczki rzucił jej w twarz.

Cofnęła się przed tym ruchem bezwiednie w tył i runęła głową naprzód, po twardych, kamiennych schodach na chodnik.

Przeszedł obok niej, wsiadł w sanki i odjechał.

Oprzytomniała po jakimś czasie, zwlokła się na kolana i czepiając się poręczy schodów, wyciągała ręce za odjeżdżającym i wołała ku coraz cichszym i dalszym dźwiękom dzwonek — krótko... rozpaczliwie... nieprzytomnie:

— Lwie mój! kocham cię! Zabij mnie, a nie opuszczaj! Panie mój, kocham cię!

Z trudem wróciła do sieni, ale taki straszny, bezbrzeżny ból ją łamał, tak się w niej okropnie wszystko rwało, tak jej serce pękało z niezmiernego żalu, rozpacz, niemocy, że traciła chwilami przytomność; nie mogła już płakać, nie mogła nawet krzyknąć, nie mogła już myśleć; wszystko się z nią kręciło i zapadało w czarną, przerażającą głuszę opuszczenia i śmierci.

Znalazła się w jakimś ciemnym, pustym pokoju i tam opadły ją resztki sił, upadła na podłogę z krzykiem bezprzytomnym i przez lzy, przez rozdzierające łkania, przez straszny ból, przez całą nędzę złamanego i rozbitego serca wołała cicho, boleśnie, umierająco:

— O lwie mój jedyny! Ratuj mnie, nie opuszczaj!! O Boże mój, za co ja tyle cierpię. O Boże!...

Zemdlała.



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/reymont-lili>

Tekst opracowany na podstawie:

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Wołk, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0798-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.